



Kwartalnik polski

Nr 100

Rok (2018) 25

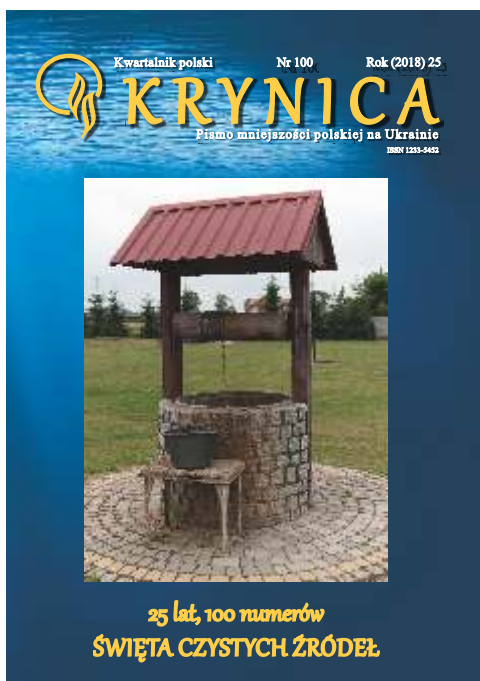
KRYNICA

Pismo mniejszości polskiej na Ukrainie

ISSN 1233-5452



25 lat, 100 numerów
ŚWIĘTA CZYSTYCH ŹRÓDEŁ



25 lat istnienia i wydanie 100. numeru pisma mniejszości polskiej na Ukrainie „Krynica” to piękna okazja, by z radością i z całego serca dziękować. A zatem...

Dziękuję Tobie Czytelniku – Polaku Ukrainy za determinację i odwagę, z jaką broniłeś polskości w Kraju nad Dnieprem. Który zachowałeś własną tożsamość narodową, tradycję i wiarę. Wbrew wszelkim przeciwnościom. Bez Twojej patriotycznej postawy nie potrzebne byłyby dziś na Ukrainie polskie organizacje, polskie zespoły artystyczne i polskie media. Niepotrzebny byłby także kwartalnik „Krynica”...

Dziękuję Ojczyźnie – Polsce, która za pośrednictwem swoich Instytucji Państwowych, Placówek Dyplomatycznych i Fundacji z tak wielką troską dba o potrzeby Rodaków poza Jej granicami. A jedną z tych potrzeb jest stały dostęp do polskojęzycznej prasy.

Dziękuję Instytutowi Nauk Religijnych św. Tomasza z Akwinu w Kijowie, który od samego początku jest dla „Krynicy” życzliwym opiekunem i bezpiecznym „dachem nad głową”.

Dziękuję Profesjonalistom – wspomniałym Współpracownikom i PT Autorom „Krynicy”, tym z Kraju i tym z Ukrainy, bo to Wy ją tworzyście: swoim lotnym słowem i piękną szatą graficzną.

Dziękuję polskim organizacjom Ukrainy, ich nieustrudzonym działaczom za przychylność i wszelkie dobro, którego redakcja „Krynicy” nieustannie od Was doświadcza.

Dziękuję Mężowi, który od 20 lat (bo to także mój osobisty „jubileusz”) dzielnie wspiera tę moją „kryniczną” pasję”.

Dziękuję Tobie – „Krynico” za to, że jesteś w moim życiu; że stałaś się moją wielką życiową przygodą; że pozwalasz mi realizować młodzińcze marzenie o dziennikarstwie; że wiele razy podźwigałaś mnie w czasach cierpienia i pomagałaś czuć się potrzebną.

Życzę Ci „Krynico”, by Twoje wody pozostawały czyste i nieskażone; by niosły Polakom Ukrainy piękne życiodajne SŁOWO i wielką RADOŚĆ!

Dorota JAWORSKA
Redaktor naczelny

KRYNICA

kwartalnik mniejszości
polskiej na Ukrainie

Zespół redakcyjny:

Dorota Jaworska (red. naczelny)
Mariusz Woźniak OP
Stanisław Panteluk
Oleksij Brasławiec

Stali korespondenci:

Teresa Dutkiewicz (Lwów)
Jan Ciechanowicz (Wilno)
Wiktoria Wachowska (Żytomierz)
Michał Micel (Nowy Jork)

Skład i łamanie:

Wydawniczy Oddział Instytutu Nauk
Religijnych Św. Tomasza z Akwinu
Red. tech. Mychajło Rojik
Zdjęcie na 1 str. okładki:
Stanisław Karcz



„Zadanie współfinansowane
w ramach sprawowania opieki
Senatu Rzeczypospolitej Polskiej
nad Polonią i Polakami za granicą
w 2018 r.”

Koordynator projektu:
Fundacja Wolność i Demokracja



Kontakt z redakcją:
tel/fax: +380 93 466 32 12
e-mail: dorota57@ukr.net
www.kresy24.pl

SPIS TREŚCI:

JUBILEUSZ „KRYNICY”

Życzenia (<i>Ambasada RP na Ukrainie, Fundacja „Wolność i Demokracja”, FOPnU, ZPU</i>)	2
Spotykamy się po raz setny (<i>Stanisław Panteluk</i>)	6
„Krynica” dobra... a może być jeszcze lepsza (<i>Eugeniusz Jabłoński</i>)	7

WYDARZENIA

XV jubileuszowy Koncert Charytatywny dla Rodaków ze Wschodu (<i>Teresa Dutkiewicz</i>)	8
Opowieść o Marszałku (<i>Nadzieja Susznicka</i>)	10
Talent i pracowitość (<i>Stanisław Panteluk</i>)	11
Smacznie i wesoło (<i>Andżelika Płaksina</i>)	12
„Polanie znad Dniepru” – nagrodzeni! (<i>Andżelika Płaksina</i>)	13
Piękny Jubileusz (<i>Andżelika Płaksina</i>)	14
Wspólnie o naszych dziejach (<i>Antoni Kosowski</i>)	15
W uznaniu zasług (<i>KOS</i>)	16
Odpust we Lwowie (<i>Antoni Winiarski</i>)	17
Szacunek dla przeszłości (<i>Stanisław Panteluk</i>)	18
75. rocznica Rzezi Wołyńskiej (<i>Internet: www.prezydent.pl</i>)	19

GOSPODARKA

W Stowarzyszeniu Eksporterów Polskich	22
Życzenia (<i>Stowarzyszenie Eksporterów Polskich</i>)	24
Życzenia (<i>Mikołaj Oniszczyk, Paweł Gębski</i>)	25

POSTACI

Jan Lucjan Mierzejewski. Fobie, manie, szaleństwa (<i>Jan Ciechanowicz</i>)	26
Życzenia (<i>Paweł Górecki</i>)	35

LOSY I DROGI

Byłem studentem Politechniki Kijowskiej... (<i>Józef Olszewski</i>)	36
Życzenia (<i>Stowarzyszenie Wychowanków Politechniki Kijowskiej</i>)	51

WSPOMNIENIA Z KIJOWA

Serce i rozum (<i>Jerzy Jaf</i>)	52
--	----

100. ROCZNICA NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI

Twórcy Niepodległej (cz. II) (<i>Internet</i>)	62
--	----

HISTORIA JEDNEJ PIEŚNI

Tobie, Ojczyzno, śpiewam... (<i>Internet</i>)	66
---	----

POEZJA

Życzenia (<i>Unia Poetycka Wojciecha Siemiona</i>)	70
„Jest w każdym wiernym sercu...” Polskie wiersze patriotyczne.	71



Ambasada
Rzeczypospolitej Polskiej
w Kijowie

Kijów, 25.07.2018r.

PODZIĘKOWANIE

dla Redakcji Kwartalnika „Krynica” z okazji 25-lecia działalności i wydania setnego numeru Czasopisma

Pani Dorota Jaworska
Szanowna Pani Redaktor,

W związku z wyjątkowym jubileuszem obchodzonym w 2018 roku przez Kwartalnik „Krynica” proszę przyjąć najszczerze gratulacje i podziękowania od Ambasady RP w Kijowie dla całej Redakcji za 25 lat żmudnej, pełnej oddania, ale i entuzjazmu pracy na rzecz zachowania i rozwoju polskiej tożsamości, szerzenia prawdy o życiu i działalności Polaków na Ukrainie oraz umacniania szlachetnych, bliskich Polakom wartości i postaw moralnych.

Przez ostatnie 25 lat „Krynica” kształtowała polską społeczność Ukrainy wypełniając z godną podziwu konsekwencją i zaangażowaniem swoją misję w służbie prawdy i odnowy polskości na Ukrainie, promując wysoką kulturę duchową i wysokie standardy życia publicznego, przywracając pamięć o bogactwie ojczystej kultury i historii. Dbając o różnorodność, atrakcyjność i rzetelność przedstawianych informacji, „Krynica” nie uciekała również od krytycznego spojrzenia na aktualne tematy, wyróżniając się przy tym troską o obiektywizm i odpowiedzialnością za słowo.

Niech obchodzone w tym roku 25-lecie działalności, które zbiega się z setną rocznicą odzyskania niepodległości przez Polskę, jak również jubileuszowy, setny numer Kwartalnika stanowią dla całej Redakcji powód do dumy i radości. Życzymy całemu Zespołowi „Krynicy” wytrwałości i wiary w słuszność wykonywanej misji, a wszystkim Czytelnikom tego, aby przez kolejne ćwierćwiecza była ona źródłem inspiracji i motywacji do dalszych działań na rzecz rozwoju polskości na Ukrainie.

Konsul RP w Kijowie

Tomasz Dederko

Ambasador

Jan Piekło



List gratulacyjny

Dla Doroty Jaworskiej i całej redakcji kwartalnika „Krynica”

W uznaniu Państwa zasług na rzecz kultury polskiej

Zarząd Fundacji Wolność i Demokracja

składa

najszczerze gratulacje w związku z jubileuszem 25-lecia Pisma oraz – co się z tym bezpośrednio wiąże – publikacją jego 100. numeru.

Serdecznie dziękując za Państwa zaangażowanie, życzymy wszelkiej pomyślności w dalszej pracy dziennikarskiej i kolejnych naznaczonych sukcesami ćwierćwieczy.

Prezes Zarządu

Robert Czyżewski

Sekretarz Zarządu

Lilia Luboniewicz

Warszawa, 12 czerwca 2018 r.

Fundacja Wolność i Demokracja

a: Al. Jerozolimskie 30 lok. 14, 00-024 Warszawa, PL, t: +48 22 628-85-05, f: +48 22 628-85-05, a: fundacja@wid.org.pl, w: www.wid.org.pl



FEDERACJA ORGANIZACJI POLSKICH NA UKRAINIE

XXV lat czasopisma „KRYNICA”

Z ramienia Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie

na ręce Redaktor Doroty Jaworskiej

składamy szczególne wyrazy szacunku i uznania dla całej Redakcji,

która z niezmiennym zaangażowaniem dba o wysoki poziom kwartalnika.

Z okazji tak pięknego Jubileuszu

składamy wszystkim Państwu życzenia wielu zawodowych i osobistych sukcesów,

powodzenia w realizacji wszelkich planów i zamierzeń.

Życzymy wielu kolejnych jubileuszy, coraz ciekawszych materiałów,

oraz wciąż nowych wiernych czytelników.

Prezes Federacji
Organizacji Polskich na Ukrainie
Emilia Chmielowa

Redaktor Naczelna
czasopisma FOPnU „Nasze Drogi”
Teresa Dutkiewicz

Dyrektor Domu Polskiego
w Kijowie
Maria Siwko

KIJÓW 2018 r.



ZWIĄZEK POLAKÓW NA UKRAINIE

Z OKAZJI

**25-lecia istnienia oraz wydania 100. numeru
pisma mniejszości polskiej na Ukrainie KRYNICA**

składam Redakcji

SERDECZNE

GRATULACJE I PODZIĘKOWANIA

za dotychczasową pracę i krzewienie polskiej kultury
na Ukrainie.

Życzę dalszych sukcesów, kolejnych udanych lat
działalności oraz realizacji wszystkich planów i zamierzeń.

Z wyrazami szacunku i uznania

Antoni Stefanowicz

Prezes ZPU

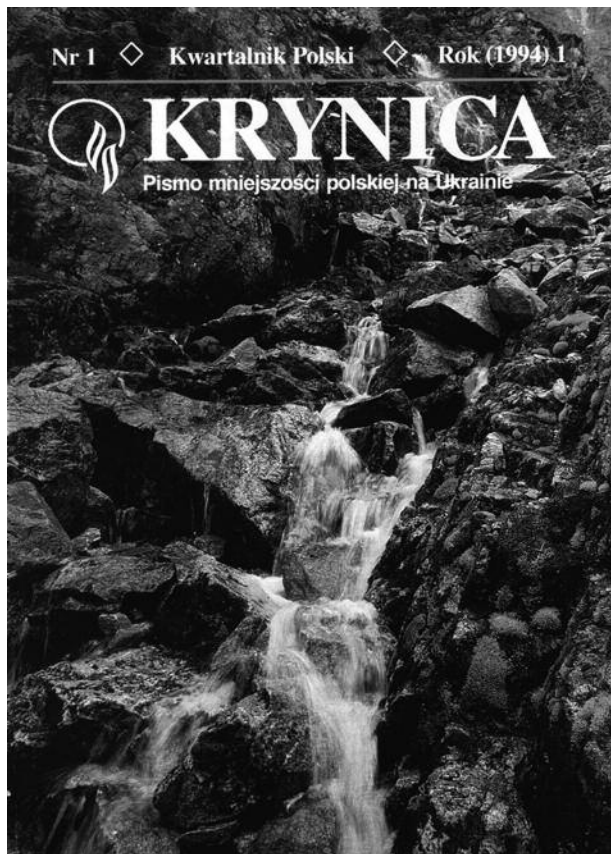
KIJÓW 2018 r.

SPOTYKAMY SIĘ PO RAZ SETNY

Słowo *jubileusz* wywodzi się z języka hebrajskiego. W tradycji judaistycznej co siedem lat obchodzono rok szabatowy, a po 7 takich cyklach, które trwały w sumie 49 lat (7x7), kolejny, czyli 50. rok był rokiem świętym, rokiem szczególnej łaski, rokiem przypominającym pochodzenie człowieka od Boga. Rok ten zwano *rokiem jubileuszowym* lub po prostu *jubileuszem*. W średniowieczu, z inicjatywy papieskiej Kościół powrócił do tej tradycji. Z biegiem czasu, gdy słowo to uwolniło się od kontekstu kulturowo-religijnego, zaczęto nim określać 50. rocznicę czegokolwiek.

Dziś największymi jubileuszami przyjęto uznawać rocznice mające cyfrę 1 z następującymi po niej zerami, czyli wartości 10, 100, 1000.

O ile jubileusze prywatne są odbierane zazwyczaj pozytywnie (można obchodzić je najczęściej na wesole), o tyle rocznice w sferze publicznej to często, niestety, tandeta, która towarzyszy nam jeszcze z czasów szkolnych. Każdy z nas pamięta nudnawe apele ku pamięci lub z okazji entej rocznicy czegoś tam. Potem następują kolejne akademie ku czci... et cetera.



Okladka pierwszego numeru „Krynicy”

Bywają jednak na tym poletku ewenementy i polegam, że jubileusz naszego pisma w postaci setnego numeru „Krynicy” spotka się z pewnym oddźwiękiem i przyczyni się do poszerzenia kręgu jego współtwórców i czytelników.

Pozwólcie, iż sięgnę jednak myślą (z nostalgią oczywiście i sentymentem) do początków naszego almanachu, a był to przecież początek prawdziwej dziennikarskiej przygody.

Pamiętam jak pewnego dnia, w dalekim już 1994 roku, kijowska wszędobylska dziennikarka Czesława Rasuł zapoznała mnie z o. Wojciechem Jezienieckim OP, który przedstawił mi ideę założenia kwartalnika, w którym można byłoby zamieszczać rzetelną informację nie tylko o codzienności zamieszkujących dziś Ukrainę Polaków, lecz o ich przodkach, o dziejach niesłusznie zapomnianych, o polskich tradycjach kulturowanych w tej części Europy.

Zauroczył mnie on tą ciekawą propozycją i pomimo, że dużo czasu uchodziło mi na prowadzenie „Dziennika Kijowskiego”, zgodziłem się na redagowanie takiego pisma, widząc w nim też, m.in., upust dla mnóstwa rozbudowanych i bardziej analitycznych nadsyłanych materiałów, które nie mieściły się w formacie wydawanego „DK”.

Rozważając o tytule pisma przyszło mi na myśl górskie źródło z krystalicznie czystą wodą (nazywane podobnie w wielu słowiańskich językach) – ‘*krynica*’. Desygnat taki przywodził mi na myśl maksymę, ideę przewodnią, która powinna przyświecać zamieszczanym w nim publikacjom, przekazującym maksymalnie przejrzysty i prawdziwy obraz poruszanych tematów. Dodam, że był to czas istnej eksplozji „prawd”, tłumionych latami przez okowy totalitarnej propagandy.

Nawiasem mówiąc, czas pokazał, że dla czytelnika z Polski tytuł jest dość opaczny, gdyż kojarzy się z polskimi miejscowościami Krynica Morska i Krynica Zdrój.

Przez szereg lat redakcja pisma mieściła się w samym sercu Kijowa, na terenie dawnego kwartału polskiej gminy kupieckiej – na Lackiej Słobodzie, w jednej z wieżyczek kościoła katedralnego pw. św. Aleksandra, gdzie zawsze otaczali i po dziś otaczają nas serdeczną opieką Ojcowie Dominikanie i pracownicy wydawnictwa KAIROS.

Projekt został przychylnie przyjęty przez czytelników i ich życzliwa reakcja przerosła nasze oczekiwania. Z cza-

sem wyrazisty profil „Krynicy” stał się rozpoznawalny w przestrzeni medialnej społeczności polskiej na Ukrainie.

W pierwsze lata drugiego tysiąclecia ster redakcji i odpowiedzialność za wsad merytoryczny pisma przejęła niestrudzona Dorota Jaworska, dzięki entuzjazmowi i talentowi której pismo po dziś dzień dzielnie się rozwija.

Zmieniają się realia. Niełatwo jest sprostać wyzwaniom w świecie, z postępującym nieodmiennie ogólnym spadkiem czytelnictwa prasy. Tym nie mniej, niemal od ćwierćwiecza, staramy się pisać o wszystkim, co ważne, co porusza Czytelników, pochłania, intryguje, a nieraz wzrusza i raduje. O tym, co w pośpiechu dnia powszedniego często umyka niezauważone, zagłuszane politycznym rwetesem, lawiną agresywnej beużytecznej reklamy, która totalnie zadomowiła się w telewizji i Internecie. Staramy się rzetelnie sprawdzać

informacje, szczególnie te z posmakami sensacji. Łamiemy stereotypy oparte najczęściej na niepełnej wiedzy czy fałszywych przekonaniach. Uwypuklamy pozytywne w stosunkach polsko-ukraińskich.

I tak sobie wzrastamy w przekonaniu, że inaczej nie można, że czasopismo o takim profilu jest potrzebne i pomocne.

Drodzy Czytelnicy – dziękujemy, że jesteście z nami, że czytacie nasze teksty, komentujecie, wspólnie z nami współtworzycie pismo. Zapewniamy, że dołożymy wszelkich starań ku dalszemu Waszemu, ale i naszemu usatysfakcjonowaniu.

A Redaktor Naczelna – Pani Dorota – planuje już kolejne wydanie „Krynicy” pod numerem 101!

Stanisław PANTELUK

Pierwszy Redaktor Naczelny „Krynicy”

„KRYNICA” DOBRA... A MOŻE BYĆ JESZCZE LEPSZA

Wydanie setnego numeru „Krynicy” to jest wydarzenie ważne i nieprzeciętne. Oznacza, że istnieje wielkie i ciągle zapotrzebowanie na treści i przesłania głoszone przez wydawcę i redaktorów, że są liczni ludzie, którzy na kwartalnik czekają.

To głównie Polacy i osoby polskiego pochodzenia żyjący na stałe na Ukrainie oraz osoby zainteresowane wiedzą o przeszłości i teraźniejszości Polski, a także pogłębieniem więzi ukraińsko-polskich.

Czasopismo wydawane jest tanio, praktycznie na zasadach społecznych. Przy tym drukowane jest na wysokim poziomie merytorycznym i językowym, w ciekawym opracowaniu graficznym, na dobrym papierze. Kryje się za tym ogromny wysiłek i poświęcenie wszystkich jego twórców. Z tej racji należą się szczerze i najwyższe gratulacje każdej redaktorce i każdemu redaktorowi, współpracownikowi i wspierającym ich sympatykom, na czele z długoletnią redaktorką naczelną Dorotą Jaworską. A zarazem słowa uznania należą się najwierniejszym i doraźnym czytelniczkom i czytelnikom, bez których nie ma w ogóle mowy o istnieniu jakiegokolwiek tytułu, a tym bardziej o doniosłym jubileuszu.

Poczytuję sobie za zaszczyt, iż przez sporo lat dane mi było zasilać „Krynicy” swoimi tekstami, głównie na temat sytuacji w różnych dziedzinach życia w Polsce. Jestem nadal stałym czytelnikiem „Krynicy”. Doceńmiam dość szeroki wachlarz tematyczny kwartalnika,

teksty zwarte i nieco obszerniejsze (w periodyku to naturalne), zarówno te historyczne i o wybitnych Polakach, jak i te o wydarzeniach współczesnych. Zawsze lekturę zaczynam od felietonu wstępnego Doroty Jaworskiej i krótkich relacji z życia polonijnego. I cieszę się, że takich tekstów pojawia się coraz więcej.

A czego mi brakuje? Powiem wprost: materiałów o tej trudnej drodze, którą w obronie swej niezawisłości i suwerenności toczy Ukraina po Majdanie 2014 roku i toczyć będzie zapewne jutro; o tym, co dzieje się na zagarniętym przez Rosję Krymie i podburzanym przez nią i wspieranym wojskowo Donbasie. A tam też żyją Polacy, mało, ale i oni cierpią. Wiem, że są to sprawy niełatwe i może nie w pełni w profilu pism. Jednak to żadne usprawiedliwienie. Nie można przymykać oczu na dramat tysięcy, milionów obywateli Ukrainy i wyboistą drogę tego państwa do zacieśniania związków z cywilizacją demokratycznej Europy.

Proszę wybaczyć, że piszę o tym przy okazji jubileuszu. Przecież jednak każdemu z nas zależy na tym, żeby „Krynica” była stale dobra, coraz lepsza. A dalszego powodzenia i kolejnych stu numerów życzę jak najserdeczniej Całemu Zespołowi „Krynicy”.

Eugeniusz JABŁOŃSKI
Były konsul RP w Kijowie

Warszawa

XV JUBILEUSZOWY KONCERT CHARYTATYWNY DLA RODAKÓW ZE WSCHODU

Wprawdzie od wydarzenia, o którym będzie mowa w zamieszczonym poniżej artykule minęło już kilka miesięcy, jednak jego tekst dotarł on do redakcji „Krynicy” całkiem niedawno. Ponieważ mowa w nim o sprawach niezwykle ważnych dla środowiska Polaków Ukrainy i Białorusi, dlatego też z przyjemnością prezentujemy go naszym Czytelnikom.

Redakcja

Po raz XV w Sycowie odbył się Ogólnopolski Koncert Charytatywny na rzecz pomocy Rodakom na Ukrainie i Białorusi.

Organizatorami tego jubileuszowego dwudniowego wydarzenia byli: Burmistrz Miasta i Gminy Syców Sławomir Kapica, Ambasador Honorowy i Konsul Generalny RP w Irkucku Krzysztof Świderek oraz komitet organizacyjny.

27 stycznia br. koncert poprzedziło nabożeństwo ekumeniczne w Kościele Ewangelickim w Sycowie. Nabożeństwo celebrował pastor Rafał Miller. Kazania wygłosili: ks. Łukasz Buzun – biskup pomocniczy kaliski, bp Leon Dubrawski – ordynariusz Diecezji Kamie-

niecko-Podolskiej na Ukrainie, ks. Waldemar Pytel – bp Diecezji Wrocławskiej Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Polsce.

Koncert Charytatywny to coroczne, wielkie przedsięwzięcie, które już na dobre zagościło w Sycowie. Każdego roku cieszy się ono dużym zainteresowaniem. W wypełnionej publicznością hali Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji nie brakowało wzruszeń, dobrej energii i gorącej atmosfery.

W uroczystości uczestniczyło wiele osobistości ze świata polityki i dyplomacji, organizacji kulturalnych i stowarzyszeń Polaków na Kresach. Przybyli przedstawiciele rządu z minister Beatą Kempą, Beata Pawł-



Członkowie zespołu folklorystyczno-etnograficznego „Aksamitki” z miejscowości Bar na Ukrainie. Zespół działa pod kierownictwem pani Inny Miedwiedewej.
Fot. Paweł Piotrowski

wicz z Dolnośląskiego Urzędu Marszałkowskiego Województwa Dolnośląskiego, samorządowcy powiatowi i gminni wszystkich szczebli z Województwa Dolnośląskiego, z województw ościennych, służby mundurowe ze strażą i policją, przedstawiciele Stowarzyszeń i jednostek organizacyjnych gminy. Przybyli jak zwykle goście ze Wschodu – liderzy polskich organizacji, duchowni, Rodacy z Ukrainy i Białorusi. Dom Polski w Kijowie reprezentowała delegacja na czele z dyrektorem Marią Siwko.

Swą obecnością koncert zaszczylicili: Związek Piłsudczyków w Sycowie, ks. Dariusz Stańczyk – proboszcz parafii w Tobolsku, który powiedział, że „*to w Sycowie biją serca dla Kresowiaków ze Wschodu, dla Syberii*”; Tadeusz Samborski – członek Zarządu Województwa Dolnośląskiego; Marek Malinowski – radny Sycowa oraz ks. Wiesław Wójcik SChr – dyrektor Instytutu Duszpasterstwa Emigracyjnego.

Na scenie wystąpił Państwowy Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze”. Zespół wykonał tradycyjny repertuar ludowy, oparty na pieśniach, przyśpiewkach i tańcach polskich różnych regionów.

Koncert uświetniły także polskie zespoły: taneczno-wokalny „Rezonans” i zespół taneczny „Aksamitki” z miasta Bar na Ukrainie oraz zespół taneczny „Białe Skrzydła” z Mołodeczna na Białorusi.

Była to doskonała okazja do spotkania się z wielką Kresową Rodziną. Do Sycowa przyjechała m.in. delegacja z Syberii, a dokładnie z Irkucka i Wierszyny. Ogromna w tym zasługa Generalnego Konsula RP Krzysztofa Świderka, który od lat, niezależnie od miejsc pełnienia swych obowiązków w różnych krajach, dba o obecność Polaków zza wschodniej granicy na Koncertach Charytatywnych w Sycowie. To właśnie On jest jednym z organizatorów tej niezwyklej imprezy.

Po koncercie na wszystkich czekały specjały kresowej kuchni.

Podczas koncertu została ogłoszona IX edycja akcji „*Mogiłę pradziada ocal od zapomnienia*”. Coroczna akcja odbywa się przy dużym współudziale samorządów z Dolnego Śląska. W akcji tej udział biorą również uczniowie sycowskich szkół.

Już w lipcu ponad 1200 wolontariuszy wyruszy na Ukrainę, by porządkować stare i zapomniane polskie cmentarze. Od 2010 roku wolontariuszom udało się uratować już ponad 100 000 mogił swoich przodków.

W następnym dniu, w kościele pw. św. Piotra i Pawła ks. abp Mieczysław Mokrzycki przewodniczył Eucharystii sprawowanej w intencji Ojczyzny. Obecni

na Mszy św. z ogromnym wzruszeniem wysłuchali homilii ks. abpa M. Mokrzyckiego, który powiedział m.in.:

„Umiłowani Bracia i Siostry!

Proszę [...] przyjąć moje serdeczne podziękowanie za zorganizowanie w dniu wczorajszym piętnastego Koncertu Charytatywnego w Sycowie. To wspaniałe dzieło jest nie tylko znakiem pamięci o Polakach żyjących na Ukrainie i Białorusi, ale jest wspaniałym świadectwem miłości bliźniego i spełnieniem słów Jezusa: «Jedni drugich brzemiona noście».

Dziękuję władzom świeckim, duchowieństwu, organizatorom i pomysłodawcom oraz wam wszystkim. Dziękuję zespołom z Ukrainy i Białorusi za przybycie i podzielenie się pielęgnowaną na co dzień kulturą. Wielkie słowa wdzięczności kieruję w stronę Zespołu «Mazowsze». Jesteście ambasadorami polskiej kultury i tradycji, zanosząc ją w różne strony świata, nie pomijając przy tym Ukrainy, gdzie zawsze jesteście mile widziani i oczekiwani.

Niech wszystkim wam błogosławi Bóg. Niech na drogach życia strzeże was Maryja, Matka Syna Bożego, którą we Lwowie nazywamy Śliczną Gwiazdą Miasta Lwowa, Łaskawą Panią z katedry. To przed tym wizerunkiem upadł na kolana król Jan Kazimierz i nazwał Ją Królową Korony Polskiej.

Niech ku świętości prowadzi was św. Jan Paweł II, którego nie podziwiającie, lecz naśladujcie. Amen”.

Abp Mokrzycki przekazał parafii pw. św. Piotra i Pawła relikwie św. Jana Pawła II, który zawsze troszczył się o swój kraj rodzinny.

Ks. proboszcz kanonik Sławomir Borowczyk podziękował za relikwie święte, podziękował wszystkim kapłanom celebrującym Mszę św., podziękował zespołowi „Mazowsze”, który wystąpił z koncertem kolęd, podziękował władzom, gościom i parafianom.

Na zakończenie celebracji ks. Wójcik odmówił Modlitwę Polskiego Migranta do św. Jana Pawła II.

Celem Koncertu Charytatywnego była zbiórka środków, które zostały przekazane na działalność religijną i kulturalną na Wschodzie.

Opr. Teresa DUTKIEWICZ

OPOWIEŚĆ O MARSZAŁKU

24 maja br. na zaproszenie dyrektor Domu Polskiego w Kijowie, Marii Siwko, tę zasłużoną placówkę kulturalno-oświatową odwiedził znany i szanowany przez Polonię ukraińską Andrzej Amons, syn Jana, działacz społeczny, prokurator wojskowy w st. sp., pułkownik.

Od wiele lat pan Amons pracuje w archiwach i analizuje materiały o represjach stalinowskich, o Katyniu, bierze czynny udział w pracach wykopaliskowych w miejscach masowych mordów Polaków i przedstawicieli innych narodowości.

Od 25 lat pan Amons współpracuje z FOPnU, z Domem Polskim w Kijowie. Wiele lat temu swoją małą córeczkę Natalię, wówczas przedszkolankę, przyprowadził do zorganizowanej wówczas Szkoły Polskiej Sobotniej. On sam, podobnie jak inni rodzice, bacznie obserwował, jak dzieci tańczyły kujawiaka, poloneza, poleczkę, recytowały wiersze poetów polskich, śpiewały polskie pieśni ludowe.

Przez lata Natalia Amons uczęszczała do Domu Polskiego. Później, po ukończeniu Uniwersytetu (wydział stosunków międzynarodowych), już jako magister kontynuuje pracę swojego ojca – polskiego patrioty – w muzeum w Bykowni.

Każdego roku pan Andrzej Amons przychodzi do Domu Polskiego i opowiada o rezultatach kolejnych badań.

Andrzej Amons jest zafascynowany osobowością naczelnika odrodzonej Polski, Józefa Piłsudskiego,

który wskrzesił państwo polskie na mapie świata po 123 latach nieistnienia, odnowił wojsko polskie, potrafił zjednoczyć 5 milionów żołnierzy – Polaków z armii niemieckiej, austro-węgierskiej i rosyjskiej.

Pan Amons opowiedział o rodzinie Józefa Piłsudskiego, o jego studiach, o działalności politycznej, o zesłaniu na Syberię, o tworzeniu Niepodległej Polski.

Wspominając czyny bohaterskie Józefa Piłsudskiego, Andrzej Amons przypomniał słowa polskiego historyka i żołnierza Legionów, Henryka Wereszycy, który tak o Marszałku powiedział: „*To był dar Boży dla narodu polskiego. Marszałek dał Polsce wolność, granice, moc i szacunek*”.

Pan Amons powiedział, że zarówno w carskiej Rosji, jak i komunistycznej staro się skłócić Ukraińców i Polaków. W ostatnich latach widzimy efekty podobnych działań: dewastację cmentarzy, pomników – i w Polsce, i na Ukrainie. Jednak bogaci w doświadczenia historyczne działacze Polski i Ukrainy dążą do współpracy i pojednania.

Andrzej Amons opowiedział zebranym w Domu Polskim bardzo wiele interesujących faktów z życia Marszałka Józefa Piłsudskiego i chętnie odpowiedział na liczne pytania. Pomagał mu w tym znany na Ukrainie naukowiec, historyk, sekretarz naukowy Memoriału w Bykowni – Walery Filimonichin.

Nadzieja SUSZNIČKA



Podczas odczytu.
Nadzieja Susznicka i Andrzej Amons

TALENT I PRACOWITOŚĆ

Artysta... Kim jest? Zapewne kimś, kto ostrzej niż inni odczuwa piękno świata i potrafi donieść je do ludzi. Taka myśl się nasuwa, kiedy oglądasz obrazy Kazimierza Liżewskiego.

Ten utalentowany artysta samorodek urodził się 5 marca 1940 roku w Stawiszczu (w obwodzie kijowskim) w rodzinie Stanisława i Solomei Liżewskich. Ten prastary ród ma polskie korzenie.

Dla rodziny Liżewskich, podobnie jak dla wielu Polaków mieszkających na Ukrainie, lata 30. ubiegłego wieku – to czas stalinowskich represji. W 1938 roku stracono dziadka Stanisława (syna Józefa), dwóch jego synów i zięciów. Przez długi czas Pan Kazimierz odczuwał lęk, gdy pytano go o narodowość, ale nigdy nie wstydził się swoich polskich korzeni.

Chłopiec dzieciństwo spędził w okupowanym przez Niemców Stawiszczu, a do szkoły poszedł w 1947 roku we Lwowie. Pamięta, że w kieszeni miał zawsze ołówek i notes. Największa dziecięca pasja i pragnienie – malować z czasem stało się jego powołaniem.

Na kształtowanie gustu estetycznego młodzieńca istotnie wpłynęła niepowtarzalna architektura Lwowa, zaś pierwszym „artystycznym drogowskazem” stało się pismo „OGOHEK” ze wspaniałymi reprodukcjami płócien wybitnych mistrzów pędzla.

Po maturze służył w wojsku, a w 1962 roku – w młodzieńczym porywie – w charakterze spawacza wyruszył na budowę Brackiej Elektrowni Wodnej.

Rok później wstąpił na studia zaoczne do Moskiewskiego Uniwersytetu Sztuki Ludowej na specjalność rysunek i malarstwo.

Doskonalenie umiejętności artystycznych i swój warsztat twórczy Kazimierz Liżewski przez długie lata pomyślnie łączył z pracą w branży budowlanej kierując się własną zasadą: „*Podstawa sukcesu to jeden procent talentu i dziewięćdziesiąt dziewięć procent pracowitości*”.

Jest osobą wielce szanowaną przez mieszkańców osiedla. Obecnie już jest na emeryturze – całkowicie poświęca się przekładowi swoich doznań i emocji na język malarski.

26 maja br. z inicjatywy działaczy środowiska polskiego Stawiszczu dokonano otwarcia wystawy malarstwa Kazimierza Liżewskiego i jego syna Stanisława pod dewizą: „*Oczyrna malarza – oczyma miłości*”. W uroczystościach uczestniczyła najbliższa rodzina i przyjaciele twórcy. Ze stolicy przybył kierownik Wydziału



Kazimierz Liżewski zapoznał zwiedzających ze swoimi pracami

Konsularnego Ambasady RP w Kijowie Tomasz Dederko z Małżonką Mariolą, których w ośrodku wystawienniczym serdecznie powitali przedstawiciele miejscowych władz i licznie zebrani mieszkańcy. Autorowi prac szczególne gratulacje złożyli: proboszcz parafii p.w. Podwyższenia Krzyża Świętego w Fastowie o. Jan Piątkowski OP, proboszcz z Bogusława o. Krzysztof Wilk, proboszcz parafian w Rokitnym i Stawiszczu o. Marek Rudź, proboszcz parafii greckokatolickiej w Białej Cerkwi o. Jewhen Merimerin. Polską społeczność Białej Cerkwi reprezentował Oleg Sawicki.

Konsul Tomasz Dederko złożył Kazimierzowi Liżewskiemu najszczerze podziękowania za działalność na rzecz szerzenia polskiej kultury oraz za zaangażowanie w działalność społeczności polskiej na Ukrainie.

Pan Kazimierz osobiście oprowadził zwiedzających po ekspozycji, opowiadając o swojej pasji i dziękując za okazane zainteresowanie i wyrazy uznania.

Stanisław PANTELUK
Zdj. A. Płaksina

SMACZNIE I WESOŁO

W ostatnią niedzielę maja wszyscy chętni, którzy trafili na terytorium podkijowskiego kompleksu hotelowo-turystycznego „Kraków”, stali się uczestnikami Festynu Polskiej Kultury i Polskiej Kuchni, zorganizowanego przy udziale Zagranicznego Ośrodka Polskiej Organizacji Turystycznej w Kijowie.

Bigos i bigosik, żurek i żubrówka, zabawa taneczna przy akompaniamencie wspaniałego zespołu, rozmaite konkursy i warsztaty, sztuczne ognie, a w dodatku wspaniała słoneczna pogoda – wszystko to stało się nie lada atrakcją dla rzeszy gości.

Każdy region Polski ma własny odróżniający go od innych koloryt i upodobania smakowe. Czym delektują się na Dolnym Śląsku, obecni dowiedzieli się od szefa kuchni „Hotel Park Plaza” z Wrocławia Zbigniewa Koźlika, który opowiadał o nowym szlaku turystycznym „Smaki Dolnego Śląska”, łączącym zakłady gastronomiczne (restauracje, zajazdy, gospodarstwa agroturystyki).

Dolny Śląsk bogaty jest również w atrakcje turystyczne: zamki, pałace, doskonałe warunki do aktywnego sanatoryjno-uzdrowskiego wypoczynku. O niektórych klejnotach regionu goście święta dowiedzieli się z filmu zaprezentowanego przez przedstawiciela Dolnośląskiej Organizacji Turystycznej Marka Janczyszyna.

Dolny Śląsk staje się dla Ukraińców coraz bliższy dzięki rozwijającym się kolejowym, autobusowym i lotniczym połączeniom komunikacyjnym. Podkreślił to dyrektor Zagranicznego Ośrodka Polskiej Organizacji Turystycznej w Kijowie Włodzimierz Szczurek. „*Ruch bezwizowy*, – powiedział – *szeroki wybór dostępnego, nie-*

drogiego połączenia transportowego między naszymi krajami, a ponadto mnóstwo atrakcji turystycznych przyczyni się do znacznego wzrostu ruchu turystycznego z Ukrainy do Polski”.

Oprócz wyśmienitych potraw polskich w strefach wyznaczonych do zdjęć polskie partnerskie firmy oferowały degustację wódek „Soplica” i „Żubrówka”.

Istną karuzelą barwnych strojów i efektownych figur tanecznych uradowały zebranych występy Zastępowanego dla Kultury Polskiej Zespołu „Polanie znad Dniepru”.

Dzień upłynął w iście polskiej atmosferze i duża w tym zasługa pani Switłany Jastrubenko – zarządzającej hotelem i restauracją „Kraków”, zakochanej w polskiej kuchni i w polskiej kulturze, która od kilku już lat organizuje tutaj imprezy w polskim stylu.

Ucieszę zapewne smakoszy polskiej sztuki przyrządzania potraw taką oto informacją: dyrektor Zagranicznego Ośrodka Polskiej Organizacji Turystycznej w Kijowie, Włodzimierz Szczurek, zaproponował powrót i rozwinięcie idei Tomasza Tomczyka – szefa prosperującej onegdaj na obrzeżach Kijowa „Opalkowej Chaty”. Tam każdy gość siadając do stołu – obcował z tradycjami i kulturą kulinarną polskich regionów (z udziałem kucharzy z Polski), oglądał występy gwiazd polskiej i ukraińskiej sceny muzycznej. Misji takiej mógłby podjąć się hotel i restauracja „Kraków” poprzez odpowiednią, długofalową rozbudowę zaplecza i nadanie obiektowi certyfikatu „Małopolskiej Karczmy Regionalnej”. A więc „szerokiej drogi” i, nieco z wyprzedzeniem, SMACZNEGO!

Andżelika PŁAKSINA

Zdj. autora



W oczekiwaniu na inaugurację Festynu

„POLANIE ZNAD DNEPRU” – NAGRODZENI!

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP nagrodiło zespół Pieśni i Tańca „Polanie znad Dniepru” Odznaką Honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”. Ambasador RP na Ukrainie Jan Piekło wręczył ją kierownikowi artystycznemu zespołu Łesi Jermak dniu 28 maja 2018 r., podczas występu zamykającego warsztaty taneczne pn. „WYTNIJ HOŁUBCA”.

Fascynującym kalejdoskopem polskich tańców i polskich pieśni obdarowali licznie zgromadzoną publiczność członkowie kijowskiego zespołu „Polanie znad Dniepru” podczas występu, który odbył się w kijowskim Domu Architekta.

Zespół powstał w listopadzie 2000 roku w Kijowie przy Związku Polaków Ukrainy. Prawie 18 lat wspaniałej przygody z folklorem Polski to okres, który pozwolił zapraco-



wać „Polanom znad Dniepru” na zasłużone uznanie.

Aktualnie zespół składa się z czterech grup wiekowych: maluchy (5-7 lat), młodsza (8-11 lat), grupa średnia (12-14 lat) oraz starsza (od 14 i więcej – bez ograniczeń). Dzieci i młodzież – członkowie zespołu poznają polskie pieśni i tańce, tradycje ludowe i obrzędy, a także mają możliwość uczenia się języka polskiego. Zespół uczestniczy w międzynarodowych festiwalach i koncertach. W jego repertuarze są nie tylko polskie tańce i pieśni, ale także ukraińskie.

Andżelika PŁAKSINA

Zdj. autora



W uroczystości nagrodzenia Odznaką Honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej” udział wzięli Ambasador RP na Ukrainie Jan Piekło (Ś) i Kierownik Wydziału Konsularnego Ambasady RP Tomasz Dederko (L).

„Aby powiedzieć, czym jest dla mnie zespół «Polanie z nad Dniepru», to tak naprawdę wystarczy trzech słów: pasją, trybem i sensem życia” – powiedziała podczas uroczystości kierownik artystyczny Zespołu Pieśni i Tańca „Polanie znad Dniepru” Łesi Jermak (P)

PIĘKNY JUBILEUSZ

W tym roku najstarsze na Ukrainie i najliczniejsze w Kijowie Polskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe im. A. Mickiewicza obchodzi piękny Jubileusz – 30-lecie działalności. 31 maja w czytelni biblioteki noszącej imię największego polskiego wieszca, w uroczystej atmosferze członkowie Stowarzyszenia i liczni goście – w tym prezesi i przedstawiciele innych środowisk polonijnych – zebraли się, by wspólnie świętować tę solidną datę.

W gościnnych progach biblioteki działacze KPSKO im. Adama Mickiewicza w ciągu minionych 30 lat organizowali konferencje naukowe, prezentacje, tematyczne wieczory i obchodzili tradycyjne polskie święta.

Podniosły charakter spotkania podkreśliła obecność Kierownika Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Kijowie Tomasza Dederko, który złożył gratulacje i podziękował wszystkim działaczom Stowarzyszenia za ich wieloletni trud. Najserdeczniejsze słowa uznania wypowiedział Pan Konsul pod adresem Prezes Ireny Gilowej, która 21 lat temu zastąpiła założyciela i pierwszego Prezesa Stowarzyszenia śp. Anatola Romeykę.

Pani Gilowa troskliwie opiekuje się Stowarzyszeniem, kultywuje i propaguje polską kulturę w Kijowie. Dzięki jej staraniom liczba członków organizacji przekracza obecnie pół tysiąca osób.

Inaugurując imprezę Irena Gilowa złożyła gratulacje najstarszym członkiniom, które działają od pierwszego dnia istnienia Stowarzyszenia: Irenie Ponomarenko, Ninie Smoła, Nadziei Slesariewej, Tamarze Sawenko, Irenie Gołybardowej, Helenie Cwietowej. Pani Prezes przypomniała najciekawsze wydarzenia z ubiegłych 30 lat działalności Stowarzyszenia.

Z okazji jubileuszu członkom KPSKO im. A. Mickiewicza Prezes ZPU Antoni Stefanowicz złożył podziękowania za ich ofiarną pracę na rzecz polskości. Pan Prezes przypomniał, że jest to najstarsza organizacja polska w niepodległej Ukrainie, gdyż swój początek bierze od Polskiej Sekcji Kulturalno-Oświatowej, powołanej przy Ukraińskim Towarzystwie Przyjaźni i Łączności Kulturalnej z Zagranicą.

Maria Siwko – dyrektor Domu Polskiego w Kijowie, działającego przy Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie, pogratulowała działaczom KPSKO owocnej działalności i podziękowała za przyjazną, długoletnią współpracę między organizacjami.

Szanownym Jubilatam gratulowało także wielu przybyłych na uroczystość gości. Utalentowani działacze Stowarzyszenia wystąpili w dobrze wyreżyserowanym i ciekawym programie artystycznym, w którym zabrzmiały zarówno polskie, jak i ukraińskie ludowe i współczesne utwory poetyckie i muzyczne.

Najwspanialszym muzycznym akcentem spotkania był występ znanej śpiewaczki operowej Kateryny Markowskiej oraz wszechstronnie utalentowanej wokalistki, kompozytora, laureatki międzynarodowych konkursów Ołesi Sinczuk. Swoim talentem recytatorskim zaszarował obecnych najmłodszy wykonawca Jegor Kirilow – uczeń Warszawskiej Szkoły Baletowej.

Jubileuszowe spotkanie upłynęło w ciepłej, świątecznej atmosferze. Było doskonałą okazją do rozmów i zwierzeń, które toczono przy tradycyjnej lampce wina.

Życzymy Stowarzyszeniu jeszcze wielu, wielu lat działalności!

Andżelika PŁAKSINA
Zdj. autora



Dostojni Jubilaci i Szanowni Goście na wspólnym zdjęciu pamiątkowym

WSPÓLNIE O NASZYCH DZIEJACH

„Na widok baszt i rondeli fortecznych zdobiących szczyty skał wielka otucha wstąpiła im zaraz w serca. Albowiem wydawało się niepodobnym, aby jaka inna ręka prócz Boskiej mogła zburzyć to orle gniazdo na szczycie otoczonych pętlącą rzeką wiszarów uwite. Dzień był letni i cudny; wieże kościołów i cerkwi wyglądające spoza wiszarów świeciły jak olbrzymie świece; spokój, pogoda i weselość unosiły się nad jasną krainą” – tak o twierdzy w Kamieńcu Podolskim napisał w „Panu Wołodyjowskim” Henryk Sienkiewicz.

W takim samym „cudnym”, słonecznym, czerwcowym dniu roku 2018 na tarasach widokowych kamienieckiej twierdzy licznie spacerujących turystów zaintrygowała grupa dziennikarzy, historyków i publicystów przybyłych tu z Kijowa, a uzbrojonych w kamery, dyktafony i śmigła dronów.

Realizowano przedsięwzięcie nieprzeciętne, a mianowicie rozpoczęto realizację unikalnego projektu, w ramach którego powstanie cykl filmów i reportaży z Ukrainy na temat polsko-ukraińskiego dziedzictwa historycznego, pt. „Polska i Ukraina. Śladami historycznego dziedzictwa”.

W inauguracji projektu wzięli udział główni jego organizatorzy: Dyrektor Instytutu Polskiego w Kijowie Bartosz Musiałowicz, przedstawiciele Stowarzyszenia Integracja Europa-Wschód – Prezes Krzysztof Kalita i Iryna Vitiuk oraz zaproszona ekipa dziennikarzy reprezentująca kanały telewizyjne ICTV, KANAŁ 5, ESPRESSO, a także redakcje pism „Dziewięć Tyżnia”, „Ukraiński Żurnal”, „Diłowa Stolica”, „Słowo Polskie”, „Dziennik Kijowski”.

Projekt przewiduje stworzenie w bieżącym roku ponad 100 krótkich produkcji filmowych poświęconych wybranym obiektom dziedzictwa architektonicznego, które powstały w okresie Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Projekt uzyskał wsparcie Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP i jest realizowany przez Stowarzyszenie Integracja Europa-Wschód, w partnerskiej współpracy z Instytutem Polskim w Kijowie, którego dyrektor Bartosz Musiałowicz jest inicjatorem przedsięwzięcia. Nagrania filmowe zostaną wykonane przez profesjonalny zespół filmowy Ukrainian Communication Group.

Na liście ponad setki miejsc, które zostaną sfilmowane, znajdują się twierdze, pałace, kościoły i inne ciekawe zabytki.

Powstające w ramach projektu reportaże będą prezentowane na specjalnie w tym celu stworzonej stronie internetowej oraz kanale YouTube. W bezpośrednie działania jako partner zaangażowany jest również Instytut Polski w Kijowie.

We wrześniu na Ukrainę wyruszą polscy i ukraińscy studenci i uczniowie, którzy odwiedzą wybrane historyczne miejsca i nagrają relacje ze spotkań z mieszkańcami, historykami czy lokalnymi przewodnikami. Poprzez szeroką promocję w Internecie, mediach i zaangażowanie młodzieży uda się dotrzeć do szerokiego grona odbiorców i nawiązać międzypokoleniowy dialog o wspólnej historii. Warto zatem podejmować działania na rzecz popularyzacji i zachowania miejsc wspólnego historycznego dziedzictwa wśród młodych pokoleń Polaków i Ukraińców.

Kto wie, może dzięki tym wysiłkom uda się zachęcić do wędrówek śladami wspólnej historii dawnej Rzeczypospolitej przyszłych mecenasów kultury, inwestorów czy rekonstruktorów zabytków?

Antoni KOSOWSKI
Zdj. A. Płaksina



Nowożeńcy na pierwszych kadrach filmu o kamienieckiej twierdzy to niewątpliwie dobry znak dla tego nowego projektu

W UZNANIU ZASŁUG

10 czerwca br. w Ambasadzie RP w Kijowie odbyło się uroczyste nagrodzenie zasłużonych działaczy ruchu polskiego na Ukrainie Odznaką Honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

Odznakę wręczyli Wicemarszałek Senatu RP Maria Koc (przebywająca z wizytą w Kijowie) i Ambasador RP na Ukrainie Jan Piekło.



Zwracając się do zebranych na sali przedstawiciele środowisk polskich Kijowa Pani Marszałek zaznaczyła: „Dziękujemy za Wasz niezwykle aktywny oddźwięk na apel o godne świętowanie 100-lecia odzyskania niepodległości przez Polskę i cieszymy się, że z ramienia Senatu możemy wesprzeć dużo niezwykle ciekawych i wartościowych przedsięwzięć”.

Prawdziwą ozdobą uroczystości był występ Zespołu Pieśni i Tańca „Polanie znad Dniepru” pod kierownictwem Łesi Jermak.

KOS

Zdj. A. Płaksina

Odznaka Honorowa
„Zasłużony dla Kultury Polskiej”



Nowo nagrodzeni aktywiści stowarzyszeń społeczno-kulturalnych Kijowa stanęli do zdjęcia z Wicemarszałek Senatu Marią Koc i Ambasadorem RP na Ukrainie Janem Piekło. Od lewej: Helena Arendarewska, Ambasador RP na Ukrainie, Walentyna Daszkowska, Wicemarszałek Senatu, Antoni Stefanowicz, Larysa Bułanowa, Ludmiła Lemieszko, Wanda Pawłowa

ODPUST WE LWOWIE

W dniu wspomnienia św. Antoniego, 13 czerwca br., w lwowskiej parafii na Łyczakowie (*zdj. obok*) odbył się tradycyjny odpust ku czci Świętego. Opiekę nad kościołem św. Antoniego sprawują OO. Franciszkanie.

Odnowioną figurę św. Antoniego Padewskiego poświęcił lwowski biskup Edward Kawa, który przewodniczył Mszy św. Po tradycyjnym poświęceniu lilii, ulicami wokół kościoła przeszła procesja. Rozdano również „*Chleb św. Antoniego*”.

W uroczystościach wzięło udział wielu czcicieli św. Antoniego (ok. 3000 osób), m.in: Konsul Generalny RP we Lwowie Rafał Wolski, przedstawiciele władz miasta, księża, zakonnicy i siostry zakonne.

Odpust oprócz rzymskich katolików zgromadził także grekokatolików, a także prawosławnych.

Bp Edward Kawa wygłosił homilię po polsku i przetworzył jej tekst po ukraińsku.

Antoni WINIARSKI



W uroczystej procesji przeniesiono odnowioną figurkę św. Antoniego

SZACUNEK DLA PRZESZŁOŚCI

W odległości 80 km od stolicy Ukrainy, w otoczeniu wysokich i stromych zboczy prawego brzegu Dniepru leży miasteczko Rżyszczów (ukr. Ржищів), które było świadkiem wielu wydarzeń historycznych i które podarowało światu wiele znakomitych osobistości, w tym także Polaków. Do dziś wśród jego mieszkańców spotykamy osoby o polskim rodowodzie, zrzeszone głównie w Kulturalno-Oświatowym Stowarzyszeniu Polaków. To dzięki ich staraniom kilka lat temu uporządkowano spory teren, na którym znajdują się obiekty o znaczeniu historycznym.

Odkrycie wówczas nagrobków mecenasów tutejszego kościoła – polskich ziemian (które, nawiasem mówiąc, świętokradczo wykorzystano jako część fundamentów pomnika Lenina) zainspirowało miejscowych Polaków – pod przewodnictwem Prezesa Stowarzyszenia Anatola Jaroszkiewicza oraz koordynatora przedsięwzięcia o. Jana Piątkowskiego OP z Fastowa – do uporządkowania placu, na którym stał kiedyś kościół pw. Trójcy Św. (Ów kościół, zbudowany w dalekim 1765 r., zburzono w okresie władzy radzieckiej, w 1985 r.) Postanowiono, że na placu powstanie lapidarium dla polskich nagrobków, rozrzuconych wcześniej po okolicznych chaszczach, które pokryły dawny, całkowicie zdewastowany polski cmentarz.

Uroczystego poświęcenia Memoriału Rżyszczowskiego Kościoła Św. Trójcy dokonano 29 sierpnia 2015 roku podczas uroczystej Mszy świętej, celebrowanej przez abpa Piotra Malczuka.

24 czerwca br. na zaproszenie Prezesa Kulturalno-Oświatowego Stowarzyszenia Polaków w Rżyszczowie i jednocześnie radnego Rady Miasta Anatola Jaroszkiewicza do prastarego miasta nad Dnieprem zawitała delegacja ze stolicy na czele z Kierownikiem Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Kijowie Tomaszem Dederko z Małżonką, Prezesem Kijowskiego Polskiego Kulturalno-Oświatowego Stowarzyszenia im. A. Mickiewicza w Kijowie Ireną Gilową i redaktorami „Dziennika Kijowskiego”.

W podniosłej atmosferze na odnowionym placu, przy ustawionym tam krzyżu, dokonano ceremonii wciągnięcia na maszty flag państwowych Polski i Ukrainy.

Konsul Tomasz Dederko w swoim przemówieniu m.in. podziękował mieszkańcom Rżyszczowa, którzy opiekują się miejscem pamięci. Pan Konsul przypomniał słowa Marszałka Józefa Piłsudskiego: „*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku terażniejszości ani prawa do przyszłości*”.

Prezes KOSP w Rżyszczowie Anatol Jaroszkiewicz oprowadził dostojnych gości po zabytkowej części miasteczka. Zawitano m.in. na regularnie porządkowany polski cmentarz.

Stanisław PANTELUK

Zdj: A. Płaksina



Szanowni Goście, na czele z Kierownikiem Wydziału Konsularnego Ambasady RP na Ukrainie Tomaszem Dederko, obok płyty nagrobnej Zenona Hołowińskiego

75. ROCZNICA RZEZI WOŁYŃSKIEJ

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda udał się w niedzielę 8 lipca br. na Ukrainę.

– 11 lipca będziemy obchodzili 75. rocznicę ludobójstwa na Wołyniu [...]. To bardzo smutna data dla wielu polskich rodzin, które straciły na Wołyniu swoich najbliższych. Szacuje się, że było to około 100 tys. Polaków – mówił Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda, który złożył wizytę na Ukrainie, by oddać cześć pomordowanym Rodakom.

– To nie była żadna wojna między Polską a Ukrainą, to była zwykła czystka etniczna, tak byśmy to dziś nazwali. Po prostu chodziło o to, żeby Polaków z tych terenów usunąć. Takie decyzje zostały wówczas podjęte na szczeblu politycznym przez ukraińską organizację OUN-B, zlecone do wykonania UPA, która niestety wywiązała się ze swojego zadania – mówił Prezydent RP.

Prezydent podkreślił, że relacje polsko-ukraińskie muszą się „opierać na prawdzie”. – Nie może być mowy o żadnej zemście. Oczywiście jest mowa o bólu. Ból będzie trwał, ale wierzę w to, że czas, który leczy rany, za-

bliźni także i te straszne rany, które pozostały w sercach i po jednej, i pewnie po drugiej stronie także – mówił Prezydent Duda.

– Powinniśmy budować przyjaźń pomiędzy naszymi narodami. Mamy dzisiaj wspólne obawy, mamy dzisiaj wspólne troski, mamy dzisiaj wspólną myśl o bezpieczeństwie – dodał Prezydent.

Andrzej Duda złożył wieniec na cmentarzu w Ołyce – w miejscu bezimiennego pochówku w zbiorowej mogile zamordowanych Polaków oraz oddał symboliczny hołd ofiarom ludobójstwa w miejscu nieistniejącej dziś polskiej wsi Pokuta na Wołyniu.

Wcześniej Prezydent RP Andrzej Duda w Katedrze Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Łucku wziął udział we Mszy św. w intencji ofiar mordu, koncelebrowanej przez metropolitę lwowskiego arcybiskupa Mieczysława Mokrzyckiego i ordynariusza diecezji łuckiej biskupa Witalija Skomarowskiego.

Wykorzystano tekst ze strony internetowej www.prezydent.pl



© Igor Smirnow / KPRP

Prezydent Andrzej Duda oddał hołd wszystkim ofiarom rzezi wołyńskiej – złożył kwiaty w miejscu nieistniejącej dziś polskiej wsi Pokuta na Wołyniu
Fot. Igor Smirnow/KPRP

Wystąpienie Prezydenta RP podczas wizyty na Wołyniu

Witam Państwa bardzo serdecznie z Wołynia, z miejscowości Ołyka, w której kiedyś – w samym miasteczku i w okolicy – żyła stosunkowo duża grupa Polaków. Kiedyś – przed II wojną światową i także jeszcze w okresie II wojny – Polacy uprawiali tutaj ziemię, żyli, przychodzili do pobliskiego kościoła, przez stulecia chowali swoich bliskich na cmentarzu, którego pozostałości widzą Państwo za moimi plecami wraz ze zrujnowaną kaplicą.

Dosłownie za kilka dni – 11 lipca – będziemy obchodzili 75. rocznicę ludobójstwa, do jakiego doszło na Wołyniu. Będzie to w Polsce Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego na Wołyniu na Polakach przez ukraińskich nacjonalistów.

To bardzo smutna data dla wielu polskich rodzin, które w tamtym czasie – w 1942, 1943, 1944 roku – straciły tu, na Wołyniu, swoich najbliższych. Szacuje się, że było to ok. 100 tys. Polaków, którzy wtedy zostali tutaj zamordowani. Nie żołnierzy, zwykłych ludzi – rolników, którzy uprawiali ziemię, całych rodzin, kobiet, dzieci, starców.

To nie była żadna wojna pomiędzy Polską a Ukrainą, to była zwykła czystka etniczna, tak byśmy to dzisiaj nazwali. Po prostu chodziło o to, by usunąć Polaków z tych terenów. Takie decyzje zostały wówczas podjęte na szczeblu politycznym – przez ukraińską organizację OUN-B – zlecone do wykonania UPA, która, niestety, wywiązała się ze swojego zadania.

To straszna karta w historii obu naszych narodów – polskiego i ukraińskiego – naznaczona bólem, cierpieniem, wzajemnymi głębokimi urazami. Następstwem tego były z kolei polskie akcje odwetowe, w których ginęli zwykli ludzie, zwykli Ukraińcy, zwykli rolnicy z drugiej strony, z drugiego narodu. Rażąca jest jedynie dysproporcja: ok. 100 tys. Polaków, ok. 5 tys. Ukraińców. Ona rzeczywiście robi ogromne wrażenie. I to jest, proszę Państwa, prawda historyczna.

Jestem tutaj dzisiaj nie po to, by wypominać, ale przede wszystkim po to, żeby się modlić. Tak jak modliłem się przed momentem na tym cmentarzu, nad mogiłą, w której pochowanych jest 40 Polaków zamordowanych w grudniu 1943 roku. A obok jest kolejna mogiła, w której pochowani są ci, którzy zginęli w lutym 1944 roku. Ale wcześniej modliliśmy się razem w kościele w Łucku na Mszy świętej za ofiary tamtych strasznych dni.

Jedno jest pewne: musimy opierać nasze relacje na prawdzie. Po prostu trzeba ją przyznać. Nie może być mowy o żadnej zemście. Oczywiście jest mowa o bólu – on będzie trwał. Ale wierzę, że czas, który leczy rany, zablizni także i te straszne rany, które pozostały w wielu sercach – i po jednej, i pewnie także po drugiej stronie. Ale chcę powiedzieć, że przede wszystkim powinniśmy na prawdzie historycznej budować nasze dobre relacje. To jest najważniejsze! Powinniśmy budować przyjaźń pomiędzy naszymi narodami. Mamy dzisiaj wspólne obawy i troski, wspólną myśl o bezpieczeństwie.

My, Polacy, staramy się dzisiaj wspierać Ukrainę i jej obywateli w dążeniu do Unii Europejskiej, w dążeniu do tego, by terytoria zagrabione i okupowane zostały Ukrainie zwrócone, aby Rosja zaprzestała okupacji ukraińskich ziem, aby wrócił pokój w granicach Ukrainy uznanych przez społeczność międzynarodową. Akcentuję to zarówno na forum Sojuszu Północnoatlantyckiego, jak i nie tak dawno na forum Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych, gdzie w tej chwili Polska zasiada – w roku 2018 i 2019.

Chcemy wspierać Ukrainę – i czynimy to. Chcemy wspierać Ukrainę w reformach, gospodarczo, ale chcemy wspierać także to, by Ukraina była państwem bezpiecznym, które patrzy na zachód, na Europę, a nie na wschód, skąd od dziesięcioleci, a nawet stuleci przychodzi dla Ukrainy niebezpieczeństwo. Ale chciałbym, żebyśmy te nasze relacje opierali na prawdzie, która będzie nas prowadziła do dobrych relacji, do przyjaźni pomiędzy naszymi narodami.

Dzisiaj bardzo wielu obywateli Ukrainy przyjeżdża do Polski. Cieszymy się z tego, witamy Państwa z otwartymi ramionami – przyjeżdżajcie do nas turystycznie, jeżeli ktoś potrzebuje pracy, również znajdzie się dla niego miejsce. Wysyłajcie pieniądze swoim rodzinom, pomagajcie. Cieszymy się z tego, bo wierzę, że w ten sposób razem budujemy pomyślność naszych narodów.

Chciałbym, żebyśmy zawsze na przyszłość czynili to w przyjaźni, pamiętając o tym, co było straszne. Pamiętając po to, by nigdy więcej takie wydarzenia nie miały miejsca, aby nigdy więcej jeden nasz naród nie dotknął drugiego, jeden nie podniósł na drugiego ręki. To niezwykle ważne i wierzę, że takie właśnie relacje będziemy w stanie w najbliższych dziesięcioleciach i stuleciach budować.

W Polsce obchodzimy w tym roku stulecie odzyskania niepodległości. Przy każdej okazji mówię, że życzę moim rodakom kolejnych stuleci wolnej, niepodległej i suwerennej Polski. Głęboko wierzę, że będzie to wolna, niepodległa i suwerenna Polska, która będzie wielkim przyjacielem Ukrainy pod każdym względem: przyjaźni między ludźmi, pod względem gospodarczym i budowania wspólnej architektury bezpieczeństwa.

Szanowni Państwo, jako Prezydent Polski mam jeszcze tylko jedną prośbę – mówię do zgromadzonych tu mieszkańców Ołyki i okolic, mówię także do wszystkich przedstawicieli władz Ukrainy, którzy być może zobaczą mnie za pośrednictwem mediów i usłyszą moją wypowiedź. Chciałbym, żeby każdy z tych Polaków, którzy kiedyś zostali zamordowani i leżą w tej ziemi, odzyskał swoje imię i nazwisko, żeby był oznaczony w miejscu, w którym spoczywa, żeby rodzina mogła przyjechać, złożyć kwiaty, pomodlić się, zapalić znicz. By mogła uronić łzę na mogile swojego najbliższego.

Państwo doskonale wiedzą, jak bardzo jest ważne, by móc to zrobić. Bo w tym zakresie łączą nas wspólne obyczaje. Chciałbym, żeby władze Ukrainy na to pozwoliły, żeby Instytut Pamięci Narodowej i inne insty-

tucje odpowiedzialne w tym zakresie mogły przeprowadzić stosowne prace, aby można było sprawdzić nie tylko w archiwach, lecz także ustalić to w sensie fizycznym. To moja wielka prośba.

Mam nadzieję, że mimo wszelkich impasów w tym zakresie, jakie pojawiły się, będziemy w stanie to zrealizować tutaj, na ziemi ukraińskiej, a także w tych miejscach na polskiej ziemi, gdzie władze Ukrainy i Państwo będziecie chcieli takie działania przeprowadzić. Wierzę, że z jednej i drugiej strony będzie to możliwe – do tego, aby właśnie ta prawda była możliwa, aby do końca było możliwe wybaczenie, aby od serca można było odepchnąć gniew i żal. Właśnie to jest potrzebne – takie katharsis w postaci możliwości zapalenia świecy na grobie najbliższego. Uklęknąć, pomodlić się nad grobem pradziadka, dziadka, stryja. Mam nadzieję, że nikomu nie trzeba tłumaczyć, jakie to ważne.

Proszę Państwa, niech żyje wolna i niepodległa Ukraina! Niech żyje wolna i niepodległa Polska! Niech żyją nasze narody!

Dziękuję.



Cmentarz Rzymskokatolicki w Olyce – miejsce bezimiennego pochówku w zbiorowej mogile zamordowanych Polaków. Tutaj Prezydent RP Andrzej Duda złożył wieniec i wygłosił przemówienie. Fot. Igor Smirnow/KPRP

W STOWARZYSZENIU EKSPORTERÓW POLSKICH

Informacja o przebiegu XVI Konferencji Programowej Stowarzyszenia Eksporterów Polskich

W dniu 13 czerwca 2018 r. w Sali „Pod Kopułą” Ministerstwa Przedsiębiorczości i Technologii w Warszawie odbyła się XVI Konferencja Programowa Stowarzyszenia Eksporterów Polskich (SEP) zorganizowana przez Stowarzyszenie Eksporterów Polskich, pod Honorowym Patronatem Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi, Ministerstwa Przedsiębiorczości i Technologii oraz Marszałków Województw.

Tematem XVI Konferencji Programowej SEP były zagadnienia zagranicznej ekspansji konkurencyjności eksportu w ramach Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Tematyka ta wyszła naprzeciw oczekiwaniom eksporterów w ww. zakresie.

Nadrzędnym celem XVI Konferencji Programowej SEP było określenie działań w zakresie wspierania zagranicznej ekspansji konkurencyjności eksportu w ramach Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

XVI Konferencję Programową SEP prowadził Prezes Zarządu Stowarzyszenia Eksporterów Polskich Mieczysław Twaróg.

W XVI Konferencji Programowej SEP wzięli udział m.in.: Ambasador Białorusi Aleksander Averyanov, Chargé d’Affaires a.i. Ambasady Kanady Jeremy Wallach, Radca Minister Spraw Zagranicznych Cezariusz Kwaterski, przedstawiciele korpusu dyplomatycznego i resortów: przedsiębiorczości i technologii, finansów, rolnictwa i spraw zagranicznych a także dziennikarze z prasy radia i telewizji.

W części merytorycznej XVI Konferencji głos zabrali: prof. dr hab. Ryszard Michalski – Wiceprzewodniczący Rady Głównej SEP, który przedstawił działania SEP, Szymon Klus – Zastępca Dyrektora Departamentu Handlu i Współpracy Międzynarodowej Ministerstwa Przedsiębiorczości i Technologii nakreślił działania na rzecz zagranicznej ekspansji konkurencyjności eksportu, Cezariusz Kwaterski – Radca-Minister MSZ przedstawił działania dyplomacji ekonomicznej na rzecz zagranicznej ekspansji konkurencyjności eksportu w ramach Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, Piotr Pokropek – Dyrektor Regionu Banku



Gospodarstwa Krajowego Region Mazowiecki przedstawił instrumenty finansowego wsparcia na rzecz konkurencyjności eksportu oraz Jeremy Wallace – Chargé d’Affaires a.i. Ambasady Kanady w Warszawie nakreślił rozwój eksportu polskiego na rynek kanadyjski oraz korzyści z wprowadzenia umowy o wolnym handlu pomiędzy

Kanadą a UE, w tym z Polską.

Następnie odbył się Panel I poświęcony tworzeniu marek produktowych jako siły napędowej konkurencyjności eksportu. W Panelu I głos zabrali: Dariusz Stankiewicz Prezes Zarządu P.U.P.H. MONROL Sp. z o.o., Bartłomiej Lewandowski Kierownik Działu Rozwoju Biznesu URSUS S.A., Czesław Cieślak Prezes Zarządu Okręgowej Spółdzielni w Kole oraz Michał Schubert Prezes Zarządu Furniture Concept Sp. z o.o.

W Panelu II nt. działań w zakresie konkurencyjności eksportu w ramach Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju głos zabrali: prof. dr hab. Ryszard Michalski – Wiceprzewodniczący Rady Głównej SEP, Szymon Klus – Zastępca Dyrektora Departamentu Handlu i Współpracy Międzynarodowej MiT i Wojciech Fedko – Wiceprezes Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu S.A.

W trakcie XVI Konferencji Programowej SEP zwrócono uwagę na potrzebę dalszego zaktywizowania działań na rzecz przyspieszenia zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw i usprawniania rozwiązań systemowych nakierowanych na optymalny wzrost eksportu. Odniesiono się także do urzeczywistniania Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, a zwłaszcza promocji i możliwości otwierania nowych rynków zagranicznych oraz pogłębienia, w tym zakresie działań eksporterów. Zwrócono także uwagę na potrzebę bardziej otwartej współpracy z mediami, w tym z prasą krajową i zagraniczną, a także z mediami polonijnymi.

Celem nadrzędnym XVI Konferencji Programowej SEP było określenie działań na rzecz urzeczywistniania zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw. Wychodząc naprzeciw potrzebom eksporterów XVI Konferencja Pro-

gramowa SEP dokonała oceny stanu i perspektyw urzeczywistnienia zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw. Zauważyć należy, że obecna sytuacja na rynkach zagranicznych wymaga dalszej dywersyfikacji eksportu. W związku z tym prowadzona będzie nadal spójna polityka proeksportowa stanowiąca główną siłę napędową rozwoju gospodarki.

Należy zaznaczyć, że w czasie XVI Konferencji odbyła się debata mająca na celu określenie działań w zakresie zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw w ramach Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju tj: tworzenia silnych marek produktowych stanowiących siłę napędową konkurencyjności eksportu; pogłębienia działań w zakresie dyplomacji ekonomicznej na rzecz konkurencyjności eksportu; wykorzystania instrumentów wsparcia na rzecz zagranicznej ekspansji konkurencyjności eksportu; koncentracji sił i środków promocyjnych w zakresie zagranicznej ekspansji eksportu.

W trakcie XVI Konferencji Medale „Zasłużony dla Eksportu Polskiego” otrzymało 20 osób. Ponadto wręczono Dyplomy Budowniczych Silnych Polskich Marek Produktowych.

Podczas Gali Listy Gratulacyjne i Puchary Lider Polskiego Eksportu wręczono kilkudziesięciu firmom i osobom.

Stowarzyszenie Eksporterów Polskich bardzo serdecznie dziękuje firmom, które zorganizowały degustacje swoich produktów dla uczestników XVI Konferencji Programowej SEP.

Stanowisko XVI Konferencji Programowej Stowarzyszenia Eksporterów Polskich w sprawie ekspansji eksportu w ramach Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju

Stowarzyszenie Eksporterów Polskich wspiera działania przedsiębiorców oraz organów państwowych, rządowych i samorządowych na rzecz wzrostu eksportu stanowiącego siłę napędową rozwoju polskiej gospodarki. Działania te są kompatybilne ze Strategią na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. W tym celu prognozuje się wzrost eksportu polskiego w 2020 r. do około 230-240 mld euro, w tym eksportu rolno-spożywczego do około 32-35 mld euro. Osiągnięcie ww. wartości eksportu nastąpić powinno poprzez m.in. zwiększenie wykorzystania istniejącej mocy oraz uruchamianie nowych inwestycji proeksportowych realizowanych, m.in. na zamówienia rządowe.

Ponadto SEP składa najserdeczniejsze podziękowanie Hucie Szkła Gospodarczego za wykonanie 25 Pucharów Lider Polskiego Eksportu Roku 2018.

W związku z powyższym należy stwierdzić, że w Stanowisku XVI Konferencji Programowej SEP główną uwagę zwrócono na urzeczywistnianie Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju w zakresie zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw. W tym celu powinny być zastosowane odpowiednie instrumenty i mechanizmy w zakresie: wykorzystania instrumentów wsparcia na rzecz ekspansji eksportu; koncentracji sił i środków promocyjnych w zakresie ekspansji eksportu; wzmocnienia działań dyplomacji ekonomicznej na rzecz rozwoju polskiego eksportu; wprowadzenia rozwiązań systemowych mających na celu optymalne wykorzystanie funduszy unijnych na rzecz proeksportowego i proinnowacyjnego rozwoju polskiej gospodarki, a także ścisłą współpracę w tym zakresie z organizacjami samorządu gospodarczego; większego zaangażowanie polskich producentów i eksporterów w dostawę towarów i usług w ramach przetargów organizowanych przez organizacje międzynarodowe, a w szczególności ONZ i jego agendy.

Mając na uwadze przede wszystkim konieczność utrzymania dynamiki eksportu XVI Konferencja zadeklarował pogłębienie współdziałania SEP z organami rządowymi i samorządowymi w urzeczywistnianiu ekspansji eksportu.

XVI Konferencja postanowiła, że SEP będzie nadal wspierać przedsiębiorców, banki, organy rządowe i samorządowe w urzeczywistnianiu ekspansji eksportu.

Wychodząc naprzeciw potrzebom realnego sektora eksporterów ze wszystkich branż i regionów Polski – SEP zwraca uwagę na potrzebę dalszego usprawniania warunków działania firm produkujących na eksport. W tym zakresie istotną rolę odegrać winno usprawnienie rozwiązań systemowych i zwiększenie zaufania do firm w zakresie wzrostu eksportu. Chodzi zwłaszcza o: tworzenie silnych marek produktowych stanowiących siłę napędową konkurencyjności eksportu; wzmocnienie rozpoznawalności polskich produktów oraz Marki Polskiej Gospodarki; zwiększenie stopnia internacjonalizacji polskich przedsiębiorstw i unowocześnienie oferty eksportowej.

XVI Konferencja Programowa SEP widzi potrzebę zaktywizowania dalszych działań w zakresie urzeczywistnienia ekspansji eksportu w ramach Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. W tym celu konieczne jest m.in.: wykorzystanie instrumentów wsparcia na rzecz ekspansji eksportu; koncentracja sił i środków promocyjnych w zakresie ekspansji eksportu; wzmocnienie działań dyplomacji ekonomicznej na rzecz rozwoju polskiego eksportu; wprowadzenie rozwiązań systemowych mających na celu optymalne wykorzystanie funduszy unijnych na rzecz proeksportowego i proinnowacyjnego rozwoju polskiej gospodarki, a także ścisłą współpracę w tym zakresie z organizacjami samorządu gospodarczego; większe zaangażowanie polskich producentów i eksporterów w dostawy towarów i usług w ramach przetargów organizowanych przez organizacje międzynarodowe, a w szczególności ONZ i jego agendy; stosowanie rozwiązań systemowych na rzecz skuteczności działania instrumentów wsparcia polskiego eksportu oraz respektowanie zasady samodzielności firm produkujących na eksport; zaktywizowanie działań przedsiębiorstw na rynkach zgłaszających popyt na polskie towary eksportowe; uregulo-

wanie koordynacji współpracy resortów przedsiębiorczości i technologii, rolnictwa i spraw zagranicznych na rzecz kształtowania pozytywnego wizerunku polskiej gospodarki za granicą; usprawnienie procedur w zakresie wykorzystania unijnych funduszy proeksportowych; uproszczenie dostępu do usług gwarancyjnych i kredytowych w ramach procedur bankowych; pogłębienie współpracy mediów krajowych i polonijnych na rzecz wspierania wzajemnie korzystnej wymiany handlowej i współpracy gospodarczej Polski z partnerami zagranicznymi.

XVI Konferencja Programowa SEP potwierdza potrzebę dążenia do optymalnego rozwoju eksportu i deklaruje pogłębienie współdziałania SEP z bankami, przedsiębiorcami, instytucjami, organami rządowymi i samorządowymi w celu lepszego wykorzystania potencjalnych możliwości gospodarczych i kadrowych, a także zaplecza naukowo-badawczego na rzecz przyspieszenia zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw w ramach Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

Warszawa, 13 czerwca 2018 r.



Szanowna Pani Redaktor

Z okazji 25-lecia Kwartalnika Krynica mam zaszczyt i wielką przyjemność przekazać na ręce **Pani Redaktor** najserdeczniejsze gratulacje za twórcze działania na rzecz umacniania więzi z Ojczyzną Polaków z terenu Ukrainy oraz złożyć najlepsze życzenia sukcesów i pomyślności w życiu osobistym.

Jednocześnie pragnę życzyć **Pani Redaktor** dalszej owocnej działalności Kwartalnika Krynica w zakresie promocji polskiego eksportu, który stanowi szansę na dalszą wzajemnie korzystną współpracę gospodarczą i wymianę handlową oraz kształtowanie pozytywnego wizerunku Polski na Ukrainie.

Korzystając z okazji 25-lecia Kwartalnika Krynica pragnę jeszcze raz złożyć **Pani Redaktor** wyrazy najwyższego szacunku i uznania za aktywną działalność publicystyczną na rzecz proeksportowego rozwoju polsko-ukraińskich stosunków gospodarczych i handlowych.

Żywię nadzieję, że **Pani Redaktor** i Kwartalnik Krynica będzie nadal aktywnie działać na rzecz promocji rozwoju polskiego eksportu na Ukrainie.

Z wyrazami najwyższego szacunku i poważania
Mieczysław Twaróg
Prezes Zarządu

STOWARZYSZENIE EKSPORTERÓW POLSKICH

00-375 Warszawa, ul. Smolna 38 lok. 10C, tel.: (22) 331 06 39, tel./faks: (22) 331 06 40

poczta@eksporterzy.org www.eksporterzy.org

Warszawa, 17 lipca 2018 r.

Pani Dorota Jaworska
Redaktor Naczelna
Kwartalnika Krynica

WITAM I POZDRAWIAM

*z 25-leciem istnienia kwartalnika „Krynica” oraz wydaniem 100. numeru!
Pismo znakomite i pożyteczne.
Tak trzymać!*

Stały autor i czytelnik, wieloletni promotor Waszej pożytecznej pracy

Mikołaj ONISZCZUK

Były Radca Ekonomiczny Ambasady RP na Ukrainie

Warszawa

**DROGA KRYNICO!**

*Wszystkiego najlepszego z okazji 25-urodzin i 100-go numeru!
Wielu kolejnych wydań, ciekawych i różnorodnych tekstów oraz rosnącej
rzeszy wiernych czytelników!
Miałem zaszczyt i przyjemność przez chwilę uczestniczyć w tej przygodzie
(tak mniej więcej pomiędzy numerem 65 a 80, jeśli dobrze liczę). Z
perspektywy młodego jeszcze dyplomaty dzielić się swoimi wrażeniami na
temat gospodarki, perspektyw biznesowej współpracy, na temat Polski i
Ukrainy, naszych ekonomicznych relacji, a także innych wspólnych projektów,
takich chociażby jak EURO-2012.*

*Bardzo miło wspominam ten okres, mimo iż pisanie nie przychodziło mi
łatwo. Ale zobaczenie swojego tekstu w kolejnym numerze Krynicy zawsze
sprawiało mi dużą frajdę. W doborowym towarzystwie wielu zawsze
ciekawych, mądrych, pouczających a czasem zaskakujących artykułów.
Do przygody z Krynica namówiła mnie oczywiście Pani Redaktor Dorota
Jaworska, spiritus movens tego przedsięwzięcia. Dla mnie Krynica to Pani
Dorota i tak już zostanie.*

*Pani Redaktor – dziękuję! Za zmotywowanie mnie do pisania, za 6 lat
przemieję współpracy, za życzliwość i przyjaźń.*

Serdecznie pozdrawiam,

Paweł GĘBSKI

Były Kierownik Wydziału Ekonomicznego Ambasady RP na Ukrainie

Waszyngton

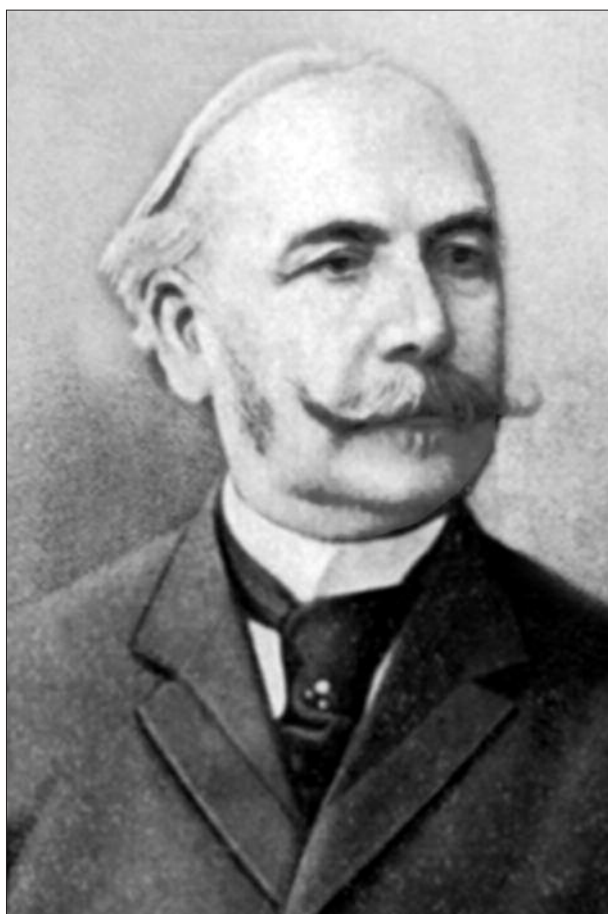


JAN LUCJAN MIERZEJEWSKI

Fobie, manie i szaleństwa

Ten znakomity psychiatra XIX wieku urodził się przed 180 laty, 10 lutego 1838 roku, w samym sercu Polski, w Jędrzejowie (województwo kieleckie). Zarówno po mieczu, jak i po kądzieli wywodził się z rodzin kulturalnych i patriotycznych. Jego ojciec, Paweł Mierzejewski, pełnił obowiązki urzędnika sądowego w Lublinie, matka zaś, Janina Rozalia z domu Wróblewska, była córką generała wojsk Królestwa Polskiego, którego syn zginął w powstaniu narodowym 1863 roku.

Rodzina Mierzejewskich była szlachecka, od wieków pieczętowała się godłem rodowym „Szeliga” i od bardzo dawna była notowana w przekazach archiwalnych. Tak np. Mikołaj z Mierzejewa Mierzejewski figuruje w zapisie do ksiąg ziemskich łomżyńskich z 4 października 1446 roku. „Wywód Familii Urodzonych Mierzejewskich herby Szeliga” z 1805 roku stwierdza,



Jan Lucjan Mierzejewski

że: „Kazimierz na Mierzejewie i Jacykach Mierzejewski w Województwie Podlaskim był kasztelanem zakroczymskim”. „Wywód familii urodzonych Mierzejewskich herbu Szeliga” z 1 września 1817 roku podaje, że „przodkowie domu tego, szcząc się prerogatywą szlachecką, odpowiednio stanowi swojemu pełnili obowiązki i rozmaite dziedziczyli ziemskie osiadłości. A z tych idący Aleksander Mierzejewski, nadpradziad dziś wywodzących się, że był posiadaczem licznych majątków w Województwie Brzeskim, dowiodła o tym kwietacya z procederu wiedzonego między tymże Aleksandrem Mierzejewskim a Stanisławem i Mirabellą Massalskimi, podkomorzami, 1664, julii 4 dnia zawarta.

Tenże Aleksander Mierzejewski zostawił po sobie naturalnym sukcesorem syna dwuimiennego Albrychta Bogustawa, który będąc zaszczyconym urzędem wojskiego lidzkiego, nabył w Województwie Mińskim folwark Trzylesie Otmytt od Krzysztofa Lewikowskiego wedle świadectwa prawa wieczystego 1678 apryla 8-go datowanego, syn zaś jego a wnuk Aleksandra Wojciech Albrychtowicz Mierzejewski, takowy folwark w Województwie Mińskim położony wypuściwszy w zastaw, przeniósł się w powiat trocki i tam mieszkając na majątku Kudryszkach przywilejem królewskim sobie nadanym splotził dwóch synów: Felicjana i Jana Nepomucena, o czym przekonał testament jego dla żony i synów 1737 maja 3 czyniony...

Z tych starszy Felicjan Wojciechowicz Mierzejewski, dostawszy się w powiat mszczonowski, splotził dwóch synów, Wincentego, teraz wywodzącego się, i Stanisława... Wincenty, pędząc równie życie szlacheckie, jak i jego przodkowie, dostał się w Gubernię Wileńską, gdzie nabył possessyą ziemską i jako obywatel tej gubernii na wierność tronowi złożył przysięgę... Ożeniony zaś z Różą de domo Umińskich ma z nią splotzonych dwóch synów, Józefa i Kazimierza, o których daty wiedzieć metryki chrzestne: pierwszego 1802 augusta 31 z Kościoła Św. Jana, a drugiego 1805 marca 24 z Kościoła Św. Jakuba w Wilnie...”

W 1817 roku deputacja wywodowa wileńska uznała i ogłosiła „za rodowitą i starożytną szlachtę polską” z wpisaniem do pierwszej klasy „Ksiąg Szlacheckich” Wincentego z synami Józefem i Kazimierzem, oraz Stanisława Mierzejewskich. (Centralne Państwowe Archiwum Historyczne Litwy w Wilnie, f. 391, z. 1, nr 1541, s. 16-17).

Jan Lucjan Mierzejewski pochodził z tegoż wielkiego rodu szlacheckiego, jego przodkowie również pieczętowali się herbem „Szeliga”. Jego życiowe losy na pierwszy rzut oka w niczym się nie różniły od życiorysów innych wybitnych uczonych, którzy dzięki swym uzdolnieniom, pracowitości, konsekwentnej realizacji wymarzonych celów wnieśli istotny wkład do nauki światowej i uwiecznili swe imiona w jej annałach. Tak więc chłopak ukończył ze srebrnym medalem gimnazjum gubernialne w Lublinie i w 1856 wstąpił na studia do słynnej Akademii Medyko-Chirurgicznej w Petersburgu, którą, także ze srebrnym medalem, ukończył w roku 1861. Niebawem też obronił rozprawę konkursową i został zatrudniony jako asystent w klinice psychiatrycznej i neurologicznej, której dyrektorem był słynny Jan Baliński. Po pewnym czasie awansował na stanowisko młodszego ordynatora, a po wygaśnięciu umowy Baliński przedłużył ją o dalsze trzy lata, dając świetnie rozwijającemu się młodemu talentowi doskonałą szansę rozwoju i samorealizacji. Już w 1864 roku Jan Mierzejewski opublikował swój pierwszy osobny druczek naukowy: *„Kliniczskoje issledowanije nieistowych bolnych”*, na której podstawie uzyskał doktorat. Ciekawe, że w 1865 roku ów pierwszy tekst naukowy młodego uczonego został wydrukowany także przez *„Gazetę Lekarską”* w języku polskim pod tytułem *„Badania kliniczne chorych maniakałnych”*.

Od 1867 roku pełnił obowiązki lekarza kliniki psychiatryczno-neurologicznej i posiadał odnośny tytuł naukowy.

Lata 1872–1875 to istna pielgrzymka młodego profesora po najlepszych klinikach neurologicznych i psychiatrycznych Europy (Berlin, Getynga, Paryż, Kopenhaga, Hamburg, Wiedeń, Heidelberg, Monachium, Londyn) i stażowanie się, jak też współpraca z takimi znakomitościami, jak np. R. Virchow, J. Charcot czy C. Bernard.

Z ogromnym bagażem wiedzy i doświadczenia powrócił Jan Mierzejewski w 1876 roku do Petersburga i na wniosek ustępującego Jana Balińskiego objął po nim jako etatowy docent katedrę psychiatrii i neurologii Akademii Medyko-Chirurgicznej, następnie zaś został mianowany kierownikiem kliniki i profesorem zwyczajnym.

Był utalentowanym wykładowcą i mówcą, świetnym organizatorem, znakomitym badaczem i doskonałym lekarzem. Idąc za osiągnięciami swego poprzednika dźwignął klinikę psychiatryczną na jeszcze wyższy



Herb „Szeliga”

poziom, w niczym nieustępujący najlepszym klinikom Europy Zachodniej, a pod pewnymi względami go przewyższający.

W 1877 roku miesięcznik *„Medycyna”* opublikował jego tekst *„O niektórych własnościach mózgu idiotów w ogólności i nowy przypadek idiotyzmu”*. Często ukazywały się też publikacje Mierzejewskiego w języku rosyjskim, francuskim i niemieckim w odnośnych krajach, dzięki czemu uznawany był za jednego z najwybitniejszych psychiatrów Europy – i to przez kilkadziesiąt lat.

W czasach antyku chorych psychicznie uważano raczej za proroków i jasnowiedzów, ale też za osoby społecznie niebezpieczne, sięjące ferment i zamęt, skłonne do łamania norm moralnych.

W średniowieczu choroby psychiczne traktowano jako swoiste przekleństwo, jako przysłowiowy dopust Boży. Pierwsze szpitale psychiatryczne powstały w Hiszpanii w IX wieku, nieco później w Anglii (przysłowiowy Bedlam w Londynie).

W czasach nowożytnych, jak pisze Anthony Giddens (*„Nowoczesność i tożsamość”*, s. 218-220, War-

szawa 2002), nastąpiło tzw. „społeczne włączenie szaleństwa”: „Początkowo uważano, że szaleństwo, podobnie jak przestępczość, wynika z woli Boga i szaleńcy zasługują na jakąś pomoc ze strony społeczności. Można przyjąć, że obraz Pinela wyzwalającego szaleńców z kajdan przedstawia kierunek, jaki obrała cała epoka nowoczesna... Obłąd stał się możliwością tak samo «otwartą», jak wszelkie inne rodzaje zachowań i stosunków społecznych. Medykalizacja szaleństwa jako «choroby psychicznej» to tylko jeden z aspektów tego zjawiska. Obłąd był chorobą organizmu, ale panowało przekonanie, że wiele jego form ma podłoże społeczne, zaś kontrola zachowań miała być głównym środkiem prowadzącym do wyzdrowienia. W rzeczy samej wielu psychiatrów wiązało etiologię choroby psychicznej z czynnikami społecznymi, w tym z «cywilizacją».

Szczególne znaczenie miało jednak wyłonienie się poglądu, że w sprzyjających warunkach choroba psychiczna, podobnie zresztą jak skłonności przestępcze, mogła zaatakować każdego. Stanowiąca zrazu szczególny, choć niejasno określony, wymiar biedy, a zatem zarezerwowana dla pospółstwa, choroba psychiczna nabiera sensu ryzyka, jakie wiąże się z nowoczesnym życiem. «Szaleństwo nie odpowiada żadnemu szczególnemu poziomowi życia. Nikt nie stoi dość wysoko, by być poza jego zasięgiem [...], zdetronizowało ono monarchię i rzuciło cień na wiejską chatę» (David J. Rothman).

W zamysłu azyle psychiatryczne miały służyć terapii. Zamknięcie miało przywracać do zdrowia raczej dzięki specyfice samego miejsca niż dzięki stosowanym tam lekom i zabiegom. Szpital psychiatryczny miał zapewnić środowisko, które prowadziłoby do metodycznego naprostowywania całego społeczeństwa. Znowu wyraźnie widać tu moralny wymiar reformy zaburzonej osobowości. Podobnie jak w więzieniu, do tego miał prowadzić spotęgowany nadzór połączony z rutynowym przestrzeganiem dyscypliny. Świadomie stosowaną definicją obłądu była, podobnie jak w przypadku szaleństwa, nieudolność społeczna, a więc niezdolność lub niechęć do prowadzenia życia w wymagany na zewnątrz sposób”.

Profesor J. Mierzejewski wydał w 1878 roku w Petersburgu fundamentalne, liczące 550 stron, dzieło pt. „Ginekologia sądowa. Ku pomocy lekarzy i prawników”. Autor bardzo dokładnie zanalizował w swych dziełach istotę, etiologię, przebieg i skutki chorób psychicznych. Podał szczegółowemu omówieniu rozmaite manie, fobie i inne przejawy patologii charakteru i umysłu.

Np. osoba w przypadku manii traci zdolność do świadomego i racjonalnego kontrolowania swych побudek i odruchów, które powstają i uzewnętrzniają się wbrew jej rozumnej woli, często stanowiąc zaprzeczenie jej właściwego „ja”. Początkowo choroba manifestuje się w postaci rzadkich, następnie coraz częstszych impulsów, które natrętnie domagają się wyjścia na zewnątrz i z biegiem czasu stają się czymś w rodzaju przyzwyczajenia. Wówczas człowiek zaczyna żyć dziwnym, bardzo swoistym życiem, którego treść stanowi realizacja tajnych dążeń za wszelką cenę.

O ile zaskakujące wyobrażenia mają początkowo incydentalny charakter, to z mijaniem lat nasilają się i stają się natręctwami stałymi. Jak długo chory nie potrafi dać tym tendencjom ujścia, przebywa w stanie trudnego do wytrzymania napięcia nerwowego i depresji. Po wyładowaniu ich zaś przeżywa poczucie *katharsis*, radości życia i ukojenia, które zresztą niebawem są ponownie zastępowane przez szaleńcze rojenia i wewnętrzne napięcie.

Wachlarz tych potwornych wykoślawień psychicznych jest nader szeroki: od grafomanii do narkomanii. Gdy np. ktoś chce wszystko wokół siebie łamać i kruszyć, jest chory na *klastomanię*; gdy chce gryźć i kąsać innych ludzi lub przedmioty ze swego otoczenia – jest chory na *daksomanię*. *Kubomania* zaś to nie do pohamowania chęć do gier hazardowych (karty, ruletka, automaty do gier); ta choroba jest zwana także „ludomanią” (po angielsku „*gameholism*”). Cierpiący na tę dolegliwość Fiodor Dostojewski i Aleksander Puszkina przegrywali w karty nie tylko całe oszczędności rodzin, ale nawet rękopisy dopiero co napisanych przez siebie dzieł literackich. Chorzy na *dromomanię* porzucają zniechęca rodzinę, dom, pracę i naukę i udają się w bezcelowe podróże, w przysłowiową „siną dal”, bez celu i sensu. Posiadający miliony bogacz, chorujący na *kleptomanię*, podkrada znajomym drobne przedmioty i wyciąga portfele z cudzych kieszeni, mając z tego ogromną satysfakcję „moralną”. *Maniak-zbieracz* gromadzi książki, zapalniczki, modele samochodów, guziki itp. Często mechanicznie, bez domieszki motywacji poznawczej czy estetycznej. Liczba tego rodzaju schorzeń jest imponująca.

Do szeregu psychopatii należy też *aglifilia*, irracjonalny pociąg do brzydkich kobiet. *Werbomania* to niepohamowana skłonność do gadania, któremu z reguły towarzyszy wzmożona gestykulacja; *gracydomania* – irracjonalne dążenie do tego, by za wszelką cenę schudnąć; *klinomania* – notoryczna chęć do leżenia w łóżku lub wielogodzinnego tkwienia w fotelu; *onomatoma-*

nia – mus zapamiętywania imion i nazw; *klazomania* – uporczywa chętka do głośnego śpiewu i krzyku; *kopro-mania* – wciąż powtarzające się nawroty łajania i obrzucania wyzwiskami; *erotografomania* – pociąg do pisywania erotycznych listów i tekstów pseudoliterackich. Najbardziej rozpowszechnione są różne odmiany *dipsomanii* – skłonności do okresowych stanów upojenia, w szczególności popęd do picia napojów alkoholowych. *Egomania* to patologiczna predyspozycja do zajmowania się sobą; *erotomania* – patologiczna skłonność do erotycznych fantazji lub czynów; *monomania* – patologiczne zajmowanie się jakimś jednym przedmiotem; *piromania* – niepokonywalna skłonność do podkładania ognia; *trichotillomania* – skłonność do wrywania włosów; *nymphomania* – nienormalna i ekscesywna skłonność w kobiecie do obcowania seksualnego; *satyriasis* – patologiczny lub przesadny popęd płciowy u mężczyzn.

Etiologia tych wszystkich schorzeń tkwi albo w chorobie psychiki, albo w chorobie organizmu fizycznego.

Równie „bogaty, różnorodny i barwny” – faktycznie zaś przerażający – jest świat fobii umysłu ludzkiego. Jak można przeczytać w książce Shevert H. Frazier, Roberta J. Campbella, Myron H. Marschall i Arnolda Wernera „*A Psychiatric Glossary*” (New York 1975, s. 118, 134-135) istnieją m.in. tak zadziwiające odmiany tej anomalii, jak np. *anicofobia* – bojaźń grzybów; *algofobia* – bojaźń bólu; *erythrofobia* – strach przed rumienieniem się; *panfobia* – strach przed wszystkim; *amenofobia* – strach przed wiatrem; *ophidofobia* – lęk przed węzami. (Swoistym przeciwieństwem – także jednak patologicznym – „*phobii*” są „*philie*”, jak np. *algofilia* – nienormalna chęć do doznawania bólu...) Dość rozpowszechniona jest *nyktofobia*, czyli strach przed ciemnością, cechujący szczególnie często dzieci. Ale nie tylko ich. Juliusz Cezar panicznie bał się ciemności, gdy zaś one dopadły go poza oświetlonym zniczami domostwem, miewał najrozmaitsze psychopatyczne przypadłości. Może w ten sposób los dawał mu do zrozumienia, że zginie z ręki przyjaciela, opanowanego przez ciemną moc zawiści i żądzy władzy.

Król Francji Henryk III cierpiał na *ajlurofobię*, czyli kotowstręt, i zaraz skóra jego pokrywała się czerwonymi plamami na sam widok tego ujmującego zwierzątka.

Królowa Wielkiej Brytanii Elżbieta I cierpiała na *antofobię*, czyli kwiatowstręt, i jak mogła, unikała kontaktu z tym, z czym ludzie normalnie chętnie się kontaktują.

Wielu ludzi cierpi na *akrofobię*, czyli bojaźń wysokości. W paradoksalny sposób cierpiał w dzieciństwie na tę dolegliwość pierwszy kosmonauta w dziejach ludzkości Jurij Gagarin, który jednak świadomie przezwyciężył w drodze treningu tę słabość, został lotnikiem wojskowym i jednym z najszlachetniejszych bohaterów ludzkości. Świadoma siła woli i uparte ćwiczenia pozwalają przezwyciężyć dowolną fobię, zdystansować się od niej i stać się prawdziwym „twardzielem”.

Triskaidekafobia to strach przed liczbą 13, nawiasem mówiąc zjawisko nieomal powszechne i głęboko zabobonne. Wiele odmian ma *zoofobia*, czyli strach przed zwierzętami, jak np. *herpetofobia* – irracjonalny lęk przed żabami i ropuchami oraz innymi płazami. Szczególną dolegliwością wielu delikatnych i wrażliwych pań występujących na scenie jest *topofobia*, czyli lęk przed myszami. Na tę psychozę cierpiały m.in. tak słynne aktorki i piosenkarki, jak Madonna, Barbara Streisand, Carly Simon, Aretha Franklin i wiele innych. Gdy np. podczas występu na którejś z zaszczurzonych scen Nowego Jorku czy Paryża zbyt odważny gryzoń przebiegał przez pomost, doświadczone artystki traciły samokontrolę, piszczały jak zwyczajne podlotki i kompletnie zapomniały słowa właśnie wykonywanych piosenek czy monologów, a niekiedy ogarnięte paniką na widok małej szarej myszki – co tchu uciekały ze sceny ku niekłamanej uciezce gawiedzi zgromadzonej na widowni. Zdarzało się też, że owe panie znajdowały w sobie dość sił, by ma widok myszki pozostać na scenie, ale cóż z tego, jeśli przerażenie zupełnie odbierało im głos.

Niektóre panie żywią niekontrolowany lęk połączony z odrazą do takich „gryzoni”, jak mężczyźni, a dziwna ta dolegliwość nosi miano „*androfobii*”.

Najdolegliwszą bodaj formę fobii stanowi – ze względu na powszechność – *allergogena*, tzw. *mizofobia*, czyli lęk przed roślinami, ich widokiem, nasionami, pędami, zapachami. Tacy ludzie są zmuszeni żyć w zamknięciu, a względnie dobrze czują się w betonowo-asfaltowej dżungli wielkich aglomeracji miejskich, gdzie żadna roślina nie ma szans na zapuszczenie korzeni.

W sumie fobie zasadniczo nie mają racjonalnych podstaw; może zresztą dlatego są tak trudne do wyleczenia. Weźmy dla przykładu *awiofobię*, lęk przed lataniem samolotem. Oblicza się, że pod wieloma względami samolot jest najbezpieczniejszym środkiem transportu. W wypadku lotnictwa cywilnego ryzyko śmierci w katastrofie lotniczej wynosi 1:850000 i jest to wynik

podzielenia liczby ofiar katastrof lotniczych w danym przedziale czasu przez całkowitą liczbę lotów pasażerskich w tym okresie. (Por.: John Urquhart, Klaus Heilmann, „*Risk Watch*”, New York 1984). Mając na uwadze liczbę wypadków, którym ludzie ulegają w domu, w pracy i w różnych innych miejscach, trudno zaprzeczyć, że fotel kursowego samolotu unoszącego się osiem kilometrów nad ziemią jest najbezpieczniejszym miejscem na świecie. A jednak wielu ludzi wciąż przeraża latanie, a są i tacy, którzy mimo istniejących możliwości i środków, jakimi dysponują, nigdy nie wsiadają do samolotu. Nie mogą pozbyć się myśli, co by było, gdyby jednak coś poszło nie tak. Kiedy te obawy przybierają na mocy i stają się obsesyjne, mamy do czynienia z fobią.

W czasach nowożytnych szereg znanych ludzi kultury, nauki, polityki ulegało rozmaitym fobiom i maniom. Na psychozę maniako-depresyjną cierpieli prawdopodobnie m.in. Paul Gauguin, Vincent van Gogh, Virginia Woolf, Edgar Allan Poe, Hermann Hesse, William Blake, Lord Byron, Mark Twain, Tennessee Williams, Ernest Hemingway, Gustaw Mahler, Robert Schumann, Cole Porter, Oliver Cromwell, Winston Churchill. Słynny psychiatra Zygmunt Freud jak ognia bał się paproci.

Badania biografii żyjących i zmarłych artystów i pisarzy zwróciły uwagę na związek psychozy maniako-depresyjnej ze zdolnościami twórczymi. Jednostki wybitnie twórcze częściej doznają głębokich zaburzeń nastroju niż przeciętni przedstawiciele populacji. Wydaje się, że stanem umysłu sprzyjającym tworzeniu dzieł jest *hipomania*. W tym stanie rozwija się oryginalność, płynność myślenia i pomysłowość. Pacjenci hipomaniakalni lepiej rymują, a także wykazują lepsze asocjacje dźwiękowe, szybciej podają synonimy i tworzą skojarzenia słowne. Wskazuje to na jakościowo i ilościowo spotęgowane procesy myślowe. Wzrost tempa myślenia ułatwia pojawianie się nowych, niezwykle pomysłów i skojarzeń. Psychozę maniako-depresyjną cechuje również niezwykła umiejętność koncentracji, śmiałość, zdolność do dobrego funkcjonowania po zaledwie kilku godzinach snu, przeżywania głębokich i różnorodnych uczuć, niewyczerpana energia. Owe cechy charakterystyczne dla stanów lekkiej manii, a także przeżywanie ekstremalnych nastrojów i związana z tym odmienność w postrzeganiu rzeczywistości (przy depresjach), sprzyjają kreatywności. Świat oglądany jest przez kalejdoskop – dlatego powstaje często olśniewający obraz, ale popękany i fragmentaryczny. Ci, którzy

potrafią wznieść się ponad ten chaos lub kształtować go wedle swojej woli, osławiają się ze zmiennością i wnioskują głębiej w naturę człowieka oraz świata, a to znajduje swój wyraz w pracy artystycznej lub filozoficznej.

Profesor Jan Mierzejewski doszedł na podstawie wieloletnich obserwacji do wniosku, że bardzo duży procent manii, fobii, depresji, schizofrenii, paranoi jest uwarunkowana dziedzicznie. Jak twierdził, liczba przypadków, w których ma miejsce genetyczne przekazywanie chorób nerwowo-psychicznych, jest dość znaczna: z 3-4 chorych jeden, czyli 20-33 procent. W przypadku hysterii odsetek ten sięga 70%, epilepsji – 20%. Lecz nie wszyscy, którzy mogliby mieć dziedzicznie uwarunkowaną skłonność do chorób tego typu, na nie zapadają; wielu nie zostaje przez nie dotkniętych, chociaż u wielu daje się zaobserwować oznaki fizycznego i moralnego zwyrodnienia, choć nie dochodzącego do choroby psychicznej, to jednak przejawiającego się w patologii charakteru (brak równowagi, stałości i siły psychicznej). Osoby te często są pozbawione predyspozycji koniecznych do normalnej aktywności socjalnej i cechami swego charakteru łatwo są doprowadzane do konfliktu z ustawodawstwem kryminalnym. Z tego środowiska pochodzi wiele osób łamiących prawo.

Kojarzenie małżeństw między takimi dziedzicznie obciążonymi osobnikami jest szczególnie niebezpieczne, zagrożenie to jest jeszcze bardziej potęgowane tym, że:

1. Takie małżeństwa zdarzają się dość często, ponieważ między zwyrodniałymi reprezentantami różnych płci powstaje nierzadko sympatia i pociąg wzajemny;
2. Stadła te z reguły bogate są w potomstwo i w ten sposób drastycznie zwiększają kontyngent degeneratów.

W przypadku szczególnie niesprzyjających warunków ze strony dziedziczności, obecnych w kilku pokoleniach, kształtuje się w końcu potomstwo tak dalece zwyrodniałe, że niezdolne już nawet do prokreacji. Na skutek takich okoliczności wygasło dotychczas wiele słynnych rodów, notujących wśród swych protoplastów osoby zapisane w annałach historii. W ogóle rzecz biorąc istnieją tysiące ludzi, którzy mimo swej woli i swych chęci dźwigają na sobie ciężkie brzemie dziedziczności; upośledzeni przez los, zapadają na obłąkanie lub inne schorzenie nerwowe pod wpływem nader nieistotnych czynników.

Dążąc do ograniczenia przekazywania chorób psychicznych z pokolenia na pokolenie społeczeństwo –

jak uważał Mierzejewski – ma prawo ograniczać możliwości prokreacyjne (w tym zawieranie małżeństw) jednostek pod tym względem upośledzonych, szczególnie jeśli oboje potencjalni małżonkowie są nosicielami cech ujemnych. Mierzejewski wszelako daje do zrozumienia, że nie warto raczej w tym względzie stosować surowych restrykcji prawnych, ale trzeba zrobić wszystko, by samowiedza społeczeństwa, jego kultura, dobra wola, dalekowzroczność, stały się czynnikami decydującymi. „*Nie represje, nie samowola, lecz wola kierowana przez poznaną prawdę i świadomość obowiązku społecznego, mogą w tej sprawie pomóc.*” Przy czym Mierzejewski ustalił, że wpływ organizmu matczynego na stan zdrowia dziecka jest ważniejszy niż ojcowskiego.

Kroki zmierzające do profilaktyki schorzeń psychicznych i nerwowych muszą zająć kapitalne miejsce w systemie ochrony zdrowia z trzech następujących powodów:

1. Zachorowalność na nie ciągle wzrasta;
2. Należą one w większości do ciężkich chorób chronicznych i trudno uleczalnych;
3. Osoby, cierpiące na te schorzenia, nie mogą wykonywać powinności obywatela, to jest wносить wkład do skarbnicy dobrobytu społecznego i rozwoju, z którego to powodu wzrost zapadalności na schorzenia nerwowe i psychiczne nieuchronnie powoduje ogromne szkody istotnym siłom kraju, to jest intelektualnemu, moralnemu i materialnemu bogactwu. Interwencja państwa jest w tej sferze konieczna i możliwa także z tego powodu, że choroby powyższe w większości przypadków stanowią skutek nienormalnych warunków społecznych; pomijając dziedziczność i nadużywanie napojów wysokowych, wpływ środowiska zajmuje jedno z pierwszych miejsc.

Występowaniu natręctw sprzyjają takie czynniki środowiskowe, jak nieudane pożycie rodzinne, stałe wstrząsy moralne, złe materialne warunki bytowe, rozpusta płciowa. Przy czym częstotliwość występowania natręctw nie jest związana ani z płcią, ani z poziomem rozwoju umysłowego, chociaż ich pojawienie się z biegiem czasu wpływa negatywnie na zdolności mentalne i wydolność intelektualną chorego, osłabiając w całości system nerwowy organizmu, ponieważ zjawiska te łączą się zazwyczaj z bezsennością, koszmarami, bólami głowy, brakiem apetytu i głodowaniem, niszczącym psychikę lękiem i melancholią.

Jeśli chodzi o dziedziczenie fobii, to zauważono wyjątkowo interesującą prawidłowość: z przodków na potomków przekazuje się nie dane konkretne natręctwo, lecz skłonność do natręctw jako taką. Powiedzmy, babcia może mieć *agorafobię* (lęk przed otwartą przestrzenią), matka – *akwafobię* (wodowstręt), córka – *akrofobię* (lęk przed wysokością), a wnuczka – natrętne myśli samobójcze.

W każdej społeczności ludzkiej dość duży procent ludności (w czasach spokojnych 2-3 procent, w czasach pełnych zmian i wstrząsów do 10-12 procent populacji) stanowią osobnicy cierpiący w tym czy innym stopniu na rozmaite formy lęków i natręctw. A tych ostatnich jest, jak wiadomo, mnóstwo, jak np. *aerofobia* – chorobliwy lęk przed lataniem (takiego człowieka żadna siła nie zmusi wejść do samolotu); wspomniana już powyżej *anthofobia* – lęk przed kwiatami; *arachnofobia* – lęk przed pajakami; *kynofobia* – lęk przed psami; *musofobia* – lęk przed myszami; *klaustrofobia* – lęk przed zamkniętym pomieszczeniem; *ofidofobia* – lęk przed węzami; *ornitofobia* – lęk przed ptakami; *ichtiofobia* – lęk przed rybami; *ksenofobia* – niechęć do cudzoziemców; *thanatofobia* – natrętny lęk przed śmiercią; *ajlurofobia* – obawa przed kotami; *astrafobia* – lęk przed grzmotem; *autofobia* – obawa przed pozostaniem samemu; *demofobia* – wstręt do tłumu; *ginofobia* – lęk przed kobietami; *bathofobia* – obawa przed głębokością; *hemofobia* – lęk przed krwią; *nekrofobia* – wstręt przed zwłokami; *nyktofobia* – lęk przed nocą; *fonofobia* – niemożliwość znoszenia hałasu; *pyrofobia* – lęk przed ogniem; *taphofobia* – obawa przed byciem pochowanym żywcem; *zoofobia* – lęk przed zwierzętami jako takimi itd.

Fobie zresztą niekoniecznie należą do psychopatii, mogą się gruntować na przeczuciu. Tak np. pisarz Mikołaj Gogol (1809–1852) obawiał się, że zostanie żywcem pogrzebany i tak też się stało, gdy przez trzy dni nie budził się ze snu. Słynna aktorka Natalie Wood (1938–1981) przez całe życie bała się wody – istotnie, zginęła na skutek utonięcia. Istnieje zresztą zaburzenie psychiczne pod nazwą *hydromania*, cechujące się tendencją do popełnienia samobójstwa przez utopienie się. Król Prus Fryderyk Wielki drżał przed wodą, nie mógł się zupełnie myć, a podczas toalety porannej służący po prostu przecierali go suchymi ręcznikami; gdy padał deszcz, ten genialny monarcha zaszywał się w głębi komnat pałacowych i nie wychylał nosa na dwór zanim nie wyjrzało słońce.

Terminem *kairofobia* określa się natręctwa lękowe związane z przebywaniem w jakimś miejscu lub znalezieniem się w jakiejś sytuacji; *kancerofobia* to histeryczna obawa przed zachorowaniem na raka; *fobia szkolna* to lęk uczniów przed uczęszczaniem do szkoły, zjawisko powszechnie występujące i znane. Co więcej, istnieje nawet *fobiofobia*, czyli obawa przed wystąpieniem fobii jako stanu lękowego. Świat fobii – to świat koszmaru i cierpienia, przed którym nie sposób uciec, bo nie można uciec od siebie samego. A medycyna nie za wiele, jak na razie, potrafi zdziałać. Co więcej, cywilizacja rodzi nowe formy natręctw, takie np. jak *amaksyfobia* – lęk przed prowadzeniem samochodu i cały szereg innych. Zważywszy, że natężenie tych odczuć waha się od lekkiego, przemijającego poczucia strachu, trwającego kilka sekund, do przerażających ciężkich stanów, pochłaniających i przytłaczających całą osobowość człowieka, który staje się na skutek tego w ogóle niezdolny do normalnego życia, w całej okazałości widzi się ogrom skomplikowanych zadań stojących przed psychiatrią jako nauką i jako gałęzią medycyny praktycznej. A przecież fobie i natręctwa stanowią dalece nie jedyną grupę patologii psychicznych.

Zdarza się, że psychopaci funkcjonują w społeczeństwie jako ludzie normalni, a nawet przechwytyują w nim władzę. Jak pisał Ernst Kretschmer: „*Psychopaci istnieją zawsze, ale w czasach chłodnych my bywamy ich ekspertami, zaś w czasach gorących oni panują nad nami*” ...

Z postępującym rozwojem cywilizacji techniczno-konsumpcyjnej zagrożenie schorzeniami psychicznymi gwałtownie wzrasta. Przesyt materialny i *hedonizm* (pogląd, doktryna, uznająca przyjemność, rozkosz za najwyższe dobro i cel życia – *przyp. red.*) niosą w sobie

pierwiastki zagrażające cywilizacji i kulturze, zabijają gotowość do poświęceń i ofiar, odbierają chęć służenia jakiejkolwiek idei i stają się źródłem ciężkich schorzeń społecznych. Pieniądz i dobrobyt zupełnie mylnie są uważane za dobra najwyższe, a nawet absolutne – w imię których można popełniać dowolne zbrodnie, łącznie z najbrzydliwszymi morderstwami.

Jednym z najokrutniejszych morderców w polskiej powojennej kryminalistyce był Karol Kot, nożownik z Krakowa. W chwili zatrzymania miał 19 lat. W wywiadzie przeprowadzonym tuż przed straceniem opowiadał: „*Każdy mój czyn poprzedzała dziwna myśl, tak natrętna, drążąca cały mózg. Dręczyła mnie, prześladowała. Nie mogłem spać, ani się uczyć. Cierpiełem okrutnie, musiałem więc szybko myśleć, gdzie i kogo zabić. Po morderstwie momentalnie się uspokajałem*”. Podobne napięcia przeżywał Paweł Tuchlin z Gdańska – „Skorpion”, morderca 11 kobiet (kolejnych dziewięć po spotkaniu z nim na zawsze pozostało kalekami). Swój krwawy szlak rozpoczął jesienią 1975 roku, a zakończył w maju 1983 roku. „*Wiele godzin przedtem drżałem z podniecenia*” – opowiadał „Skorpion”. „*Byłem dziwnie niepokojny. Nie mogłem się skupić na tym, co robiłem. Coś mnie ciągnęło, chodziło mi w środku, po piętach. Gdy się we mnie nazbierało, wyruszałem na wędrowkę po mieście, wyszukując kobiety*”.

W listopadzie 1999 roku przed sądem w Żytomierzu stanął Anatolij Onoprienko, oskarżony o zamordowanie 52 osób. Wśród ofiar Onoprienki znalazło się polskie małżeństwo z Białegostoku, jadące do rodziny na Ukrainie. W jego ujęciu pomógł m.in. opracowany przez psychiatrów portret psychologiczny: szukano człowieka „*z pozoru opanowanego i powściągliwego, nie karanego i cie-*



Obraz Charles'a Louis'a Müllera „Pinel wyzwala z łańcuchów obłąkanych w szpitalu Bicêtre”

szącego się zaufaniem”. Taki był właśnie 38-letni żeglarz, z zawodu leśnik. Mówił, że czuje się łowcą, a na swoje ofiary patrzył jak wilk na owcę. Mordował całe rodziny. Często strzelał do nich z broni myśliwskiej. Ofiary były przypadkowe. Po zbrodni zabierał jakieś drobne rzeczy, które do nich należały. Ale jego celem było zabijanie, nie rabunek. Był osobą całkowicie poczytalną, bez klasycznych zaburzeń psychicznych i umysłowych.

Onoprienko dorównał liczbą ofiar „rekordziście” Andriejowi Czekatiło – „rzeźnikowi z Rostowa”. Aż 35 z 52 zamordowanych przez niego osób nie miało więcej niż 17 lat. Policja przez wiele lat szukała zwyrodniałego homoseksualistę. Gdy po latach ujęto „rzeźnika”, okazało się, że Andriej Czekatiło pracował jako nauczyciel, był ojcem i mężem.

Motywy zachowań wielokrotnych morderców są jedną z najmroczniejszych tajemnic ludzkiej psychiki. Naukowcy analizowali m.in. pismo ręczne seryjnych zabójców kobiet. W sposobie stawiania liter eksperci znaleźli kilka wspólnych cech: małe, kątowe, lekko zaostrzone pismo z silnymi pociągnięciami, charakteryzujące ludzi upartych, zawistnych, dumnych i bardzo impulsywnych. Cechują się oni „twardym sercem”, są nieczuli na błagania. Niektórzy psychiatrzy twierdzą, że wielokrotne zabijanie jest procesem mającym głębokie podłoże seksualne.

Zbrodniarze to zazwyczaj ludzie zupełnie przeciwni. Mają dwa oblicza: szarego obywatela i człowieka o nieprzeciętnej brutalności, okrucieństwie i bezwzględności. Cieszą się dobrą opinią. Do częściowego odkrywania „drugiej twarzy” dochodzi niejednokrotnie w wypadkach znęcania się nad rodziną, dziećmi lub zwierzętami.

Albert De Salvo, „duciciel z Bostonu”, którego ofiarą padły 22 kobiety, był „człowiekiem o milej powierzchowności, chłopięcej twarzy, nienagannych manierach, przeciwnikiem palenia papierosów i nadużywania alkoholu”. Nienaganne maniery, urok osobisty i szarmanckie podejście do płci pięknej były atrybutami Teda Bundy’ego, któremu przypisywano zamordowanie stu młodych kobiet (udowodniono 19 zabójstw). Wybierał tylko atrakcyjne blondynki z włosami do ramion. Przyciągał ich uwagę łagodnym wyrazem twarzy i ujmującym zachowaniem.

Najgroźniejsi seryjni zabójcy są inteligentni, planują przyszłe zbrodnie, wiele podróżują, dlatego trudno ustalić miejsce ich stałego pobytu.

Większość tych przestępców jest odpowiedzialna za swoje czyny, umie odróżnić dobro od zła, ale nie dba o

to. Ci ludzie dokonują świadomie wyborów. A jednak nie są to przecież ludzie normalni, psychicznie zdrowi. Już same ich czyny są dowodem na ich nienormalność i nie wymagają żadnych ekspertyz sądowo-lekarskich. Należy ich natychmiast izolować od społeczeństwa.

Profesor Jan Mierzejewski skłonny był, jak się wydaje, podzielać punkt widzenia, zgodnie z którym istnieje coś w rodzaju fizyczno-fizjologiczno-psychicznych predyspozycji człowieka do przyjęcia i wyznawania tych czy innych poglądów filozoficznych, etycznych, społeczno-politycznych. Zdrowy, harmonijny, silny, wyćwiczony organizm skłania się do poglądów optymistycznych, zrównoważonych, do wysokich i jednoznacznych ideałów etycznych, jak też do takiegoż perfekcjonistycznego postępowania. Organizm osłabiony, chorobliwy, chwiejny, zwyrodniały wyznaje poglądy pesymistyczne, jest niepewny i niestały pod względem moralnym w życiu osobistym i społecznym. „Nihilizm (pogląd filozoficzny całkowicie lub częściowo negujący istnienie pewnych bytów – *przyj. red.*) jest odgałęzieniem doktryny zwanej pesymizmem... Cel ostateczny tej doktryny prowadzi do samobójstwa, do samozniszczenia. Nieszczęściem jest samo życie, istnienie; lepsza od niego jest śmierć jako spokojny sen bez marzeń. Nihilizm drogą dialektycznych wywodów i spekulacji prowadzi do moralnego samobójstwa, tj. do zniszczenia ideałów, pojęć etycznych, prawd wypracowanych przez wieki, które się składają na dziedziczną przez mózg zdolność odreagowywać w określony sposób na wpływy środowiska zewnętrznego. Odosobnienie się od długich, błyszczących sławnymi zdarzeniami dziejów, od kultury, która się przez wieki rozwijała, stłumienie wolności osoby ludzkiej, zniszczenie dążeń do rozwoju indywidualnego ze względu na pogoń za czymś mglistym, upiornym, dla jakiegoś bezprzykładnego eksperymentu, pociągającego za sobą ofiary i destrukcję – w ogóle wszystkie te nieszczęsne pomysły biednego umysłu ludzkiego są przejawami jego zwyrodniałej twórczości. Pomysły te mogły powstać i dojrzeć tylko na gruncie głębokiej degeneracji struktury duchowej oraz wpływać na słabą jeszcze świadomość młodzieży i jej gorączkową wyobraźnię, skłonną do fascynacji nierealnymi, spaczonymi ideami – widmami... Nihilizm nie jest schorzeniem psychicznym w ścisłym słowa znaczeniu, raczej schorzeniem środowiska; jest momentem psychicznym skłaniającym do obłąkania”...

Bardzo interesujące jest przekonanie szeregu współczesnych psychiatrów i psychologów, że na duszę

ludzką wywiera wyjątkowo korzystny wpływ życie religijne. Ludzie wierzący kilkakrotnie rzadziej niż niewierzący popadają w depresje i manie. Wiara bowiem daje człowiekowi bezpośrednią więź z Absolutem, dodaje mu otuchy i mocy w zmaganiach ze złem. Któż zresztą wie, czy sam brak wiary nie należy też do kręgu patologii psychicznych.

Niekoniecznie musi się tak uważać, po prostu, jak mówił Adam Mickiewicz: „*Gdzie nie ma Kościoła – nie ma władzy moralnej stałej i pewnej, nie ma uczucia powszechnego narodowego*”. Nie ma więc mocnej ostoja także dla praktycznego życia codziennego, a wszystko się chwieje, staje się płynne i niepewne. To zaś zabija duszę. Nie przez przypadek ogromna większość ludzi wybitnych – prawie wszyscy – to ludzie nie tylko głębokiej myśli, ale też głębokiej wiary.

Iwan Pawłow, słynny fizjolog, laureat nagrody Nobla, był człowiekiem głęboko wierzącym. Pracę naukową rozpoczynał zawsze poranną modlitwą. Codziennie bywał w cerkwi. Pewnego razu – a były to sowieckie czasy przymusowego ateizmu – wychodząc ze świątyni zaczepiony został przez przechodnia:

– *Cóż to ty, dziadku, zdaje się, że wierzysz w burżuazyjnego Boga?*

– *A wierzę, mój drogi, wierzę* – odparł uczony.

– *Ot, ciemnota!* – warknął pogardliwie przechodzień.

– *Tylko nieuk wierzy w takie baśnie...*

Na to Pawłow ironicznie:

– *Nie wszystkim jest dane być tak wykształconym, jak wy, towarzyszu...*

Ten przykład zadaje też kłam rzekomej wrogości religii i Kościoła w stosunku do nauki.

Talent, wiedza i pracowitość profesora Mierzejewskiego znalazły pełną realizację; został m.in. członkiem Rady Głównej Lekarskiej Cesarstwa Rosyjskiego; zorganizował Rosyjskie Towarzystwo Psychiatryczne, którego był wieloletnim prezesem; współzakładał, a następnie redagował „Archiw dla Psychopatologii” oraz „Wiadomości Klinicznej i Sudiebnej Psychiatrii i Neuropatologii”. W 1887 r. przewodniczył pierwszemu zjazdowi psychiatrów rosyjskich w Moskwie.

Ze szkoły Jana Mierzejewskiego wyszli tak wybitni psychiatrzy, jak W. Bechterew, M. Popow, J. Szczerbak oraz Polacy G. Daniłło, A. Czeczott, A. Erlicki.

Pod wieloma względami Jan Mierzejewski był w swoim czasie najwybitniejszym specjalistą w skali ogólnoeuropejskiej, a nawet światowej. Został obrany na

członka honorowego kilkudziesięciu uniwersytetów, akademii nauk i towarzystw naukowych w Wielkiej Brytanii, Niemczech, Francji, Belgii, USA, Włoszech, Hiszpanii, Szwecji. Dokonał szeregu odkryć w zakresie badania zmian anatomicznych w mózgu idiotów, mikrocefalii, oligofrenii, porażenia postępującego, histopatologii psychoz, białej i szarej substancji mózgu. W sumie uczony ogłosił prawie sześćdziesiąt prac naukowych w języku rosyjskim, francuskim, niemieckim i polskim, z których część była tłumaczona i drukowana także w innych językach w wielu krajach świata. Po polsku regularnie publikowały jego teksty warszawska „Medycyna”, „Pamiętnik Lekarskiego Towarzystwa Warszawskiego”, „Lwowski Tygodnik Lekarski”, „Przebieg Lekarski”, „Gazeta Lekarska”.

Profesor Jan Mierzejewski czynnie działał w Kole Lekarzy Polskich w Petersburgu; był członkiem honorowym Towarzystwa Lekarskiego Wileńskiego oraz Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Nie ukrywał swego polskiego patriotyzmu i nigdy nie zerwał więzi z kulturą ojczystą.

Śmierć zaskoczyła profesora z dala od kraju. W 1908 roku wyjechał do Paryża na kolejną konferencję naukową i tam 5 marca spracowane serce przestało bić. Była to ogromna strata dla nauki europejskiej. Po kilku dniach ciało zmarłego przewieziono do Petersburga i z honorami tam pogrzebano.

Lwowski „Świat” z dnia 28 marca 1908 roku (nr 13) donosił w informacji pt. „*Zgon uczonego psychiatry polskiego*”: „*Zmarły w tych dniach w Paryżu dr Jan Mierzejewski, profesor chorób umysłowych i nerwowych w petersburskiej Akademii Lekarskiej i dyrektor kliniki psychiatrycznej, był jednym z najwybitniejszych psychiatrów współczesnych. Wybitne stanowisko swoje w Akademii objął po Polaku również, Balińskim. Drukował liczne rozprawy specjalne w polskich, rosyjskich i francuskich wydawnictwach, a od roku 1883 redagował specjalny «Wiadomości psychiatryczny». Prawdziwy «homme du monde» (fr. światowy człowiek – przyp. red.), posiadał dostęp do najwyższych sfer towarzystwa petersburskiego, gdzie potrafił sobie wyrobić uznanie i sympatię, podobną do tej, jakimi w temże samym mieście cieszył się w swoim czasie Mianowski. Był członkiem wielu towarzystw lekarskich i uczonych, w tem i wszystkich odnośnych polskich. Psychiatria w ostatnich czasach uczyniła postępy wielkie w kierunku humanitarnego obchodzenia się z nieszczęśliwymi chorymi, znosząc dawne kaftany i zimne kąpiele, gwałtownie stosowane; ś.p. Mierzejewski szedł na tem polu ciągle z postępem*”.

Dr Jan CIECHANOWICZ

SZANOWNA REDAKCJO!

Z okazji podwójnej rocznicy, a mianowicie 25-lecia istnienia kwartalnika „Krynica” oraz ukazania się 100. numeru tegoż znakomitego pisma, proszę przyjąć moc najserdeczniejszych życzeń: na co najmniej takiego samego, kolejnego okresu działalności na rzecz Sprawy Polskiej, jak również wydania następnych stu numerów!

Od samego początku jestem stałym i wiernym czytelnikiem „Krynicy” i mam zamiar takim też nadal pozostawać. Lekturę każdego kolejnego numeru zawsze zaczynam od – jakże niezwykle, chciałoby się rzec, „po kobiecemu” subtelnie i filozoficznie pisanych – wstępnych rozważań Pani Redaktor Naczelnej Doroty Jaworskiej, które są w moim odczuciu przysłowiową perełką stylu i dobrego gustu. Szkoda, że Pani Jaworska tak rzadko zamieszcza w „Krynicy” swe własne wiersze, równie refleksyjne i nacechowane subtelną zadumą. Ale i próbki poezji innych autorów polonijnych są także udane i interesujące.

Nie sposób pominąć milczeniem materiały zamieszczane w rubrykach „Historia”, „Wspomnienia z Kijowa”, „Losy i drogi”, „Wywiady”, jak też innych, starannie dobieranych i umiejętnie komponowanych w całość tak, iż faktycznie każdy kolejny numer „Krynicy” staje się obfitym źródłem wiedzy, etalonem patriotyzmu i kultury chrześcijańskiego sposobu myślenia.

Kwartalnik „Krynica” to także krzewiciel wiedzy o polskich tradycjach demokratycznych, o współczesnym życiu Polonii ukraińskiej, o twórczej i owocnej współpracy Polaków i Ukraińców w wielu dziedzinach kultury i gospodarki.

Za to wszystko należą się całemu Zespołowi Redakcyjnemu, a w szczególności Szanownej Pani Redaktor Dorocie Jaworskiej, niezrównanej mistrzyni sztuki dziennikarskiej, wielkie brawa, serdeczne podziękowanie i życzenia „Stu lat!”

Z wyrazami najgłębszego uszanowania

Paweł GÓRECKI

Wilno



BYŁEM STUDENTEM POLITECHNIKI KIJOWSKIEJ

Pierwszy rok studiów 1951–1952

Politechnika Kijowska kończy 120 lat. Od początku studiowali w niej Polacy: u zarania jej istnienia byli to głównie młodzi ludzie z polskich rodzin na Ukrainie, a po II wojnie światowej – stypendyści polscy. Dziś chcemy oddać głos Józefowi Olszewskiemu (1929–2004), który studiował w KPI w latach 1951–1956. W Polsce prawie całe życie przepracował jako konstruktor w Dolnośląskich Zakładach Wytwórczych Maszyn Elektrycznych DOLMEL we Wrocławiu, tworząc silniki i generatory elektryczne wielkich mocy. Napisał wspomnienia ze studiów, wydane w postaci broszury przez Sekcję Wychowanków Politechniki Kijowskiej w 2003 r.

Janusz FUKSA

W domu studenckim nr 1 Kijowskiego Instytutu Politechnicznego (KPI) wskazano mi pokój, w którym miałem zamieszkać. Czekają tam na mnie łóżko pod oknem, tuż przy kaloryferze. Najwidoczniej było to miejsce najgorsze w pokoju, bo tylko ono było jeszcze wolne. Trudno, przyjechałem ostatni, a dla ostatnich pozostają przysłowiowe kości.

W podłużnym pokoju stało siedem łóżek i więcej w żaden sposób ustawić by się już nie dało, o ile w ogóle miałyby się tam mieszkać. Było bardzo ciasno. Dotychczas zawsze mieszkalem w pomieszczeniach ogrzewanych piecami kaflowymi i nie zdawałem sobie sprawy z tego, jaka to będzie dla mnie udręka, gdy zaczniesz grzać kaloryfer. Na początku września było jeszcze ciepło i do sezonu grzewczego pozostawało sporo czasu, więc się zbytnio nie przejmowałem tym, jak to będzie dalej. Ważne było, że koledzy z pokoju przyjęli mnie przyjaźnie i od razu zaakceptowali.

Teraz tutaj miał być mój dom, w tym ciasnym pokoju dwupiętrowego domu studenckiego, usytuowanego frontem do małej, leżącej na przedmieściu ulicy, która wówczas nazywała się Polewaja, a później została przemianowana na ulicę akademika Jangiela. Z okien mego pokoju, usytuowanego po stronie przeciwnej do ulicy, rozpościerał się widok na park i tereny sportowe uczelni.

Nazajutrz w dziekanacie otrzymałem skierowanie do grupy uczelnianej spawalników. Starosta wpisał moje nazwisko do dziennika obecności na zajęciach i odtąd stałem się pełnoprawnym studentem pierwszego roku Politechniki Kijowskiej. [...]

W pierwszych dniach niezmiernie ciekawy byłem nowego dla mnie świata i wypuszczałem się po zajęciach do centrum miasta, znanego mi dotąd jedynie z nauki geografii i historii. Doszedłem wszakże do wniosku, że poznanie szczegółowe miasta to na razie nic pilnego, będzie na to dużo czasu. Teraz najważniejsza była nauka, która ze względu na język wcale nie przychodziła łatwo.

Na pierwszym roku studiów podstawowe przedmioty to jakby kontynuacja nauki ze szkoły średniej, a więc głównie matematyka, fizyka i chemia. Doszły do tego pierwsze przedmioty związane z zawodem inżyniera, a więc geometria wykreslna i rysunek techniczny. Dla ścisłości należy dodać, że uczyliśmy się także ekonomii politycznej oraz podstaw marksizmu-leninizmu.

W szkole średniej w Elku miałem świetnych wykładowców z matematyki i fizyki, którzy dobrze przygotowali swoich wychowanków do dalszej nauki. Chwała im za to, bo dzięki nim ja teraz w Politechnice Kijowskiej czułem się całkiem pewnie. Miałem natomiast trudności z notowaniem wykładów. Te moje notatki to istne „*carmen macaronicum*” lub jak kto woli „*cicer cum caule*”, czyli po prostu groch z kapustą. Notowałem po polsku, tłumacząc sobie naprędce słowa wykładowcy, to znów polskimi literami zapisywałem rosyjskie słowa. Wszakże w miarę upływu czasu – z trudem, bo z trudem – zaczynałem notować po rosyjsku. Niestety, jeszcze nie nadążałem i opuszczałem wiele słów, a nawet zdań.

Na wykładach matematyki nie było źle, główną część wykładu stanowiły wzory, słów było stosunkowo niewiele. Dla lepszego przyswojenia wykładanego materiału wypożyczałem z biblioteki odpowiednie podręczniki i po zajęciach studiowałem przedmiot i uzupełniałem notatki. Nie było innej rady, barierę językową trzeba było pokonać uporem oraz cierpliwą i żmudną pracą. Pocięczałem się tylko, że gdy lepiej poznam język rosyjski, będzie mi lżej.

Zajęcia praktyczne z matematyki w naszej grupie prowadziła młoda absolwentka uniwersytetu. Niektórzy studenci, jak chociażby ci, co walczyli na froncie podczas wojny i wciąż nosili się po wojskowemu, byli od niej znacznie starsi wiekiem i dla nich taka dziewczyna to żaden „komandir”, ot po prostu ładna dziewczyna. Toteż, kiedy wykładowczyni patrząc na salę usiłowała dociec, na ile audytorium rozumie jej wywody, ktoś tam bezczelnie puszczał do niej perskie oko. Dziewczyna rumieniła się i błagalnym wręcz głosem prosiła:

– Товарищи, прекратите безобразие.

Po kilku zajęciach, gdy rezolutna dziewczyna zaczęła stawiać oceny, ustały swawole, atmosfera stężała, dystans wiedzy nauczył szacunku do niewysokiej kobiety o młodych śmiejących się oczach.

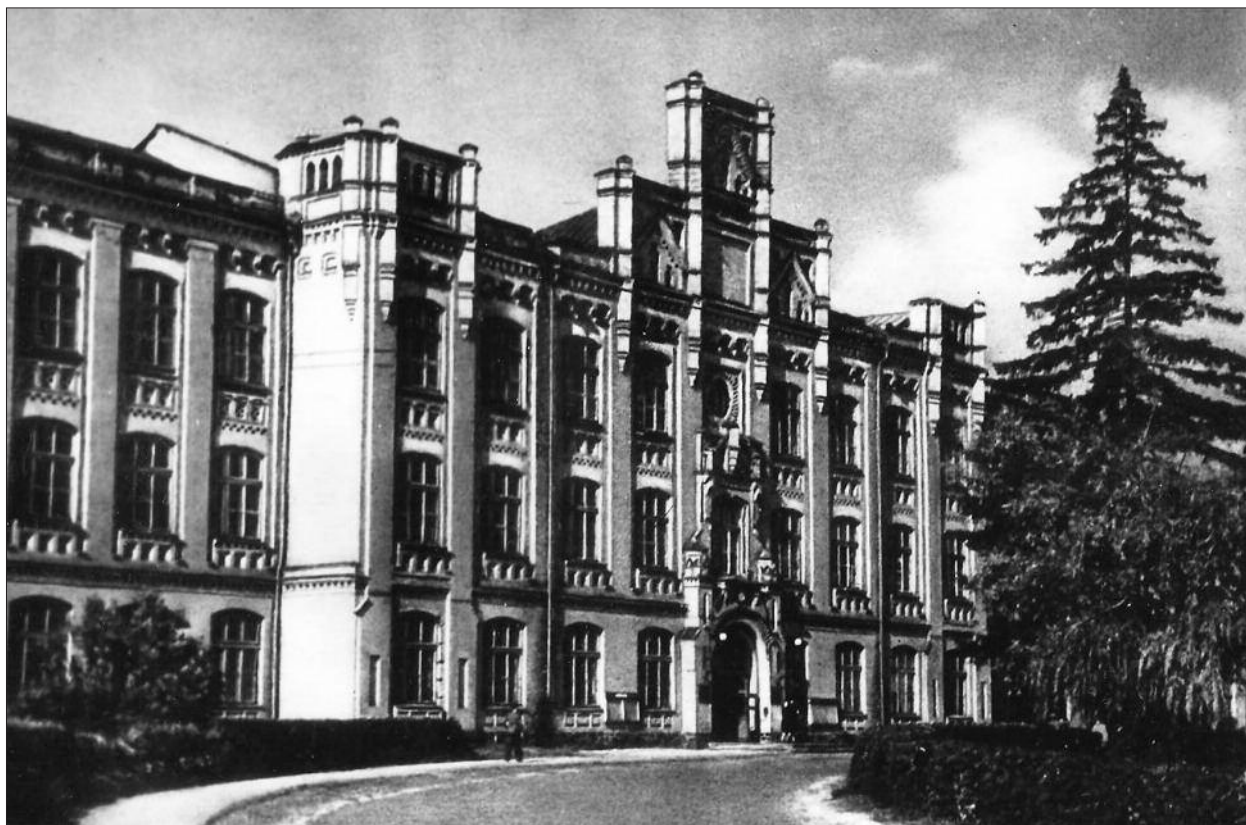
Dziwiło mnie to, że starosta grupy odnotowywał w dzienniku obecność studentów, i to zarówno na wykładach, jak i na ćwiczeniach. Starosta, czy to z charakteru, czy też może z racji swojej funkcji, zachowywał zawsze godną postawę, jak mówili niektórzy *серьёзную мину*. Nosił się po żołniersku w dopasowanej *гимнастёрке* (bluza wojskowa), ściągniętej szerokim, skórzanym pasem, w czarnych spodniach oficerskich wpuszczonych w skórzane buty, zawsze wyglansowane na wysoki połysk. Taka to była wówczas moda powojenna dla młodych mężczyzn zdemobilizowanych z armii.

Dziwiło mnie też to, że starosta nie uczestniczył w zebraniach Komsomołu. Pewnego razu, kiedy to zaraz po zajęciach miało się odbyć w tej samej sali zebranie Komsomołu i gdy opuszczałem pomieszczenie, zdziwiłem się, że razem ze mną wychodził z sali także starosta. Na korytarzu zwrócił się do mnie:

– Только мы с тобой, Юзеф, беспартийные в этой группе.

Pozostali bowiem zostali na zebraniu. Byłem tym zaskoczony, gdyż w moim przekonaniu funkcję starosty powinien był pełnić członek Komsomołu. Później dziwować się przyszło jeszcze wielu innym rzeczom.

Studiujący w Kijowie, jak i w całym ZSRR Polacy, jako obywatele obcego państwa, nie mogli należeć do



Gmach główny Politechniki Kijowskiej. Fotografia z 1959 r.

organizacji radzieckich. Kontynuowaliśmy działalność naszych, polskich organizacji młodzieżowych i partyjnych. Mieliśmy też swoją organizację środowiskową zwaną Ziomkostwem. Zebrania plenarne tej organizacji odbywały się w polskim Konsulacie. Tam też otrzymywaliśmy co miesiąc część stypendium przekazywaną z kraju w kwocie 320 rubli. Drugą część stypendium, niejako zasadniczą, w kwocie 500 rubli, otrzymywaliśmy w kasie Politechniki. Łączna kwota 820 starych rubli całkowicie wystarczała na utrzymanie. [...]

Nie było żadnych zniżek ani na dania stołowe, ani na transport miejski. Nie można też było, szczególnie na pierwszych latach studiów, pojechać do domu na święta i przywieźć ze sobą gościńca ani liczyć na otrzymanie paczki od rodziny.

Nie wydawałem jeszcze wtedy pieniędzy ani na alkohol, ani na papierosy i dzięki temu część stypendium mogłem zaoszczędzić na kupno potrzebnych rzeczy osobistych, a nawet odłożyć na zakup czegoś droższego. I właśnie zaraz po otrzymaniu drugiego z kolei stypendium kupiłem sobie zegarek na rękę popularnej wówczas marki, czyli „Pobiedę”. Kosztował 230 rubli. Służył mi długie lata, odznaczał się idealną wprost dokładnością i niezawodnością.

Do zajęć praktycznych, które prowadzone były dla jednej lub kilku grup, trzeba się było przygotowywać. Zadawano prace domowe i kontrolowano ich wykonanie, praktycznie jak w szkole średniej. A warunki do nauki w pokoju domu studenckiego były, mówiąc oględnie, trudne. Bo też kiedy wszyscy zeszli się w pokoju po zajęciach i zaczęli przygotowywać posiłki, tudzież oznajmiać gromkim głosem swoje spostrzeżenia z ostatniego dnia, robił się kociokwik i nie sposób było się uczyć.

Można było uczyć się w pokoju przeznaczonym do nauki, lecz tam zazwyczaj było tłoczno i głośno. A hałas mnie po prostu rozstrajał. W dodatku w niedzielne popołudnia studenci starszych lat organizowali w tej sali potańcówki przy płytach, ku rozpaczy kolegów z pierwszego roku. Koszmar!

Ktoś poradził mi, że w godzinach popołudniowych jest wiele pustych sal w Instytucie (tak mówiliśmy pomiędzy sobą o naszej uczelni) i że tam można się uczyć. Rada okazała się bardzo na czasie, wręcz zbawcza. Nawet kiedy w Instytucie trwały jeszcze zajęcia, to zawsze można było znaleźć jakiś wolny pokój. Ślęczałem pochłonięty nauką nieraz do późna i zdarzało się, że po

zamknięciu podwoi Instytutu wydobywałem się na zewnątrz przez okno na parterze. Taka nauka w zaciszu pustych sal przyniosła efekty. Pewniej już czułem się na ćwiczeniach i otrzymywałem dobre noty z prac kontrolnych. Jeden ze sprawdzianów z matematyki wyszedł mi najlepiej z całej grupy.

Stosowany wtedy w Instytucie system nauki wdrażał studenta do systematycznej pracy i ugruntowywał podstawową wiedzę techniczną. Bezpośrednio już związanym z zawodem inżyniera przedmiotem był rysunek techniczny. Będąc po szkole ogólnokształcącej nie miałem w tej dziedzinie żadnych nawyków, a co gorsza nie miałem także predyspozycji do odrębnego rysowania. [...]

Po kilku wstępnych wykładach zaczęło się rysowanie na brystolu. Wypożyczyłem w uczelnianej kreślarni deskę o wymiarach 120x120 cm, kupiłem przykładową, ekierki, odpowiednie ołówki oraz gumkę; kupiłem także dość kosztowny przybornik z cyrklami i przenośnikami i zacząłem rysować. Odtąd rysować już będę przez cały okres studiów, a potem w ciągu 40 lat pracy zawodowej.

Rysowanie nie było przedmiotem trudnym, można nawet powiedzieć, że było przyjemne, gdyż pobudzało wyobraźnię, zabierało wszakże dużo czasu i powodowało niesamowity tłok w pokoju. Za łóżkiem każdego studenta stała duża deska do rysowania. I kiedy to dwóch, a często i więcej kandydatów na inżynierów siedząc na łóżkach opierało deski o stół i rysowało, to ja miałem spore trudności, żeby dostać się do swojego kącika pod oknem. A w miejscu tym czułem się pewnie, jak u siebie w domu.

Pod łóżkiem miałem sporą walizę z rzeczami osobistymi. Przechowywałem w niej także pieniądze, nawet zaoszczędzony kapitałik, odkładany co miesiąc na jakieś większe zakupy.

W szafce, nazywanej *тумбочка* (wieżyczka), była łyżka, nóż i widelec. Były tam także książki i zeszyty. Na szafce leżały rzeczy potrzebne akurat w danej chwili. Szafka ta służyła często jako stolik do pisania lub do spożywania posiłków.

Ubrania i płaszcze wisiły w szafie ustawionej tuż przy drzwiach. Za tą szafą był azyl Saszy. Zachowywał się on tam, jakby mieszkał w oddzielnym pomieszczeniu. Tam, na swoim łóżku uczył się i wypoczywał. Do Saszy odnosiliśmy się z szacunkiem, był już na trzecim roku, prawie na półmetku studiów i miał za sobą tyle zdanych egzaminów! Znajomi Saszy mówili o nim, że jest polskiego pochodzenia. Kiedy z ciekawości zapy-

tałem go o to, nie zaprzeczył. Sasza na każdy temat rozprawiał z dużym zaangażowaniem i werwą. Szkoda tylko, że tak często używał przerywnika poddającego w wątpliwość konduktę czyjejs to matki. Po polsku rozumiał, ale mówić nie potrafił.

Na pogawędki w języku polskim przychodził do mnie Władysław z sąsiedniego pokoju. Przyjechał na studia do Kijowa z rodzinnego Brześcia. Pamiętał dobrze czasy przedwojenne, ze szczegółami opowiadał fragmenty filmu „Czy Lucyna to dziewczyna?”. Podśpiewywał sobie polskie piosenki z lat okupacji, ot chociażby „*Za paczkę margaryny...*”, czy też „*Mówiła ciocia Zosi...*”. Widoczne było, że rozmawianie w języku polskim sprawia mu przyjemność.

Ogólnie rzecz oceniając należy stwierdzić, że atmosfera zarówno w pokoju, jak również w całym domu studenckim była swojska i życzliwa.

Odmierzany regulaminem zajęć czas szybko upływał. Minał wrzesień, nastąpiły dżdżyste, smutne dni jesienne. W parkach i na skwerach przyroda przywdziewała swą jesienną szatę – żółkły na drzewach liście, spadały kasztany.

Tak na co dzień to żyłem tylko nauką. Nabrałem już pewnej wprawy w rysowaniu i nawet mi się to podobało. Gorzej było natomiast z opisywaniem rysunków pismem technicznym. Po pewnym czasie pismo to także jako tako opanowałem, lecz nigdy nie byłem w tym biegły i zawsze przy stawianiu liter czy znaków na rysunkach musiałem się bardzo koncentrować.

Cieszyło mnie, że od dłuższego już czasu otrzymywałem na zajęciach praktycznych z matematyki i fizyki dobre oceny, słowem nauka nie poszła w las. Lecz, niestety, sprawdzało się także i inne porzekadło o tym, że nauka wymaga wyrzeczeń. A tych wyrzeczeń to było chyba za dużo. Niewystarczająca wciąż znajomość języka rosyjskiego zwiększała, i to w dużym stopniu, trudności w nauce i nie tylko, bo także w życiu codziennym.

Pojawiły się symptomy wyczerpania, częste bóle głowy, udary gorąca, pot zalewał czoło i twarz bez powodu, i to często w najbardziej nieodpowiednim momencie, nadmiernie wychodziły włosy. Stałem się pośepny, wręcz ponury, już prawie nigdy się nie śmiałem. [...]

Uświadomiłem sobie, że należy koniecznie zapobiec dalszej dewastacji organizmu. Na szczęście młody or-



Politechnika Kijowska, nowy dom studencki nr 4. Fotografia z 1959 r.

ganizm szybko się regeneruje. Pomogły długie spacerzy, na które wybierałem się nawet w tak zwaną „psią pogodę”. Częściej też zacząłem bywać w kinach. [...] Wrócił apetyt i sen.

Chcąc ustrzec swoje włosy na dalsze lata kazałem zdziwionej fryzjerce ostrzyć je na krótkiego języka. Na początku odmówiła takiej usługi, tak jej było żal tych moich, układających się z tyłu w jaskółkę, ciemny blond włosów. W końcu cosik tam pod nosem pomruczała, wydawało mi się, że rzuciła brzydkim słowem, machnęła z rezygnacją ręką, jakby wyrażając w tym geście to, co o mnie myśli, i przystąpiła do dzieła. Taką fryzurę, ku dezaprobach koleżanek, utrzymywałem przez pierwsze lata studiów. Tylko przed wakacjami zapuszczałem dłuższą plerezę. [...]

Bardzo trudne były te pierwsze miesiące „studenta-rekruta” w Politechnice Kijowskiej. Dobrze, że chociaż nie trzeba się było troszczyć o stronę bytową studiów. Otrzymywane stypendium w kwocie 820 rubli było wystarczające. W stołówce Instytutu można było zjeść wysokokaloryczny obiad z kilku dań. Za 5-6 rubli można się było dobrze najieść. Na przystawkę brało się zwykle sałatkę jarzynową tzw. *winigred*. Bardzo mi

smakował barszcz ukraiński – duży, głęboki talerz zupy z gotowanych jarzyn, w dodatku z wkładką mięsną.

Do wyboru było zawsze kilka dań mięsnych o wyszukanych nazwach. No i kasza manna z sokiem, jako danie uzupełniające, na deser. W kompocie zawsze było dużo suszonych owoców. Przy obiedzie zjadało się 100 g chleba ciemnego lub białego; i ten, i ten był bardzo, ale to bardzo smaczny. Śniadania i kolacje przyrządzało się zazwyczaj we własnym zakresie. Na rogu naszej ulicy Polewoj był całkiem dobrze zaopatrzonej sklep spożywczy zwany *gastronom*. [...] Kijów należał wówczas w Związku Radzieckim do wybranych miast o pierwszej kategorii zaopatrzenia. Trzeba także wspomnieć i o tym, że od jesieni 1951 do marca 1953 roku dwa razy obniżano ceny na artykuły żywnościowe.

Pamiętam dobrze jak smaczny i tani był wówczas chleb: i to zarówno bielutkie *batony*, jak i ciemne *cegielki*. Zdarzało się czasami, że trzeba było postać kilkanaście minut w kolejce za chlebem. Nie było to wszakże dokuczliwe, bo wiadomo było, że chleb zaraz przywożą, i te świeżutkie, pachnące, jeszcze ciepłutkie bułeczki.

A jakże pyszne były produkty mleczne! Ileż to tam było smaków i rodzajów kefirów, jogurtów, śmietany i serów! Często kupowałem kakao z zagęszczonym mle-



Politechnika Kijowska, wielkie audytorium fizyczne. Fotografia z 1959 r.

kiem w puszkach. Łyżkę lub dwie tego zawiesistego płynu rozpuszczało się we wrzątku i pyszny napój był od razu gotowy. Wrzątek był zawsze dostępny. Gotowano go w dużym pomieszczeniu zwanym potocznie *kubowaja*. Ważne też było i to, że napój z kakao nie wymagał dosładzania. Bo właśnie z cukrem często były kłopoty, a już szczególnie późną wiosną, gdy zaczynało robić przetwory, chociażby tak popularne na Ukrainie konfitury, podawane na spodeczku jako dodatek do herbaty. Za to zawsze dostępne były w sklepach cukierki. Szczególnie przydatne były landrynki. Herbatę piło się, mając w ustach twardy cukierek *впукуючы*.

Z wędlin najbardziej popularne były grube kielbasy, apetycznie pachnące czosnkiem. Jadałem, prawie codziennie, grube plastry tych parzonych kielbas i nigdy mi nie zaszkodziły. Ważne, że były one stosunkowo tanie, a to dlatego, że zawierały bardzo mało słoniny. Na ogół, im kielbasa była bardziej suto kraszona słoniną, tym była droższa. Słonina w owym czasie była w wysokiej cenie, jako wysokokaloryczny artykuł spożywczy. Nie mówiono jeszcze wtedy o szkodliwości tego tłuszczu.

Podobnie było przed wojną w wielu regionach Polski, szczególnie w prowincjach wschodnich. Wiem sporo na ten temat, gdyż ojciec mój był przed wojną rzeźnikiem. Pamiętam jak przychodziły zatroskane znajome kobiety i kupowały, często na kredyt, po pięć deka słoniny, żeby okrasić nagotowany duży garnek kartoflanki. [...]

W sklepach obsługiwały *dziewuszki* ubrane w czyściutki, białe fartuszki i czepeczki. To nic, że niektóre z nich były mamami, a nawet babciami, mówiło się do każdej: *dziewuszka*, a one nie protestowały. Podziwiałem wprawę, z jaką *rezaty* kielbasę i obliczały na liczydłach należności. Chleb podawały zakładając na rękę higieniczną rękawiczkę. Zawsze miały coś pikantnego do powiedzenia studentom. Wyczuwało się jednak, że studentów to one zbytnio nie poważały, bo to bractwo najczęściej nie miało pieniędzy i kupowało najtańsze produkty. Co innego, gdy do sklepu wszedł młody, barczysty robotnik. Taki to, wiadomo, ma pieniądze i nie będzie opowiadał bzdur na randce. Nie ma po co tracić czasu ze studentem, gdy jest się młodą i pełną temperamentu kobietą.

Trzeba wszakże obiektywnie przyznać, że atmosfera w sklepach była przyjazna. Ekspedientki tolerowały studenckie zaczepki, przekomarzały się zza lady, czasami trochę pokrzykiwały, lecz zawsze okazywały stu-

dentom dużo serca i rozumiały ich niedostatek, podczas gdy one tam, za ladą, mogły najęść się do syta.

Podobała mi się ta atmosfera zakupów w naszym *gastronomie*. Kupowałem codziennie po 150-250 gramów pokrojonej kielbasy lub sera. Nie było jeszcze wtedy lodówek w domach studenckich, brało się więc wędlinę na jeden lub dwa posiłki. Zimą można było kupować więcej, bo niezjedzoną część zakupu można było wystawić za okno, ale w ciepłe dni kupowało się akurat tyle, ile zamierzało się zjeść.

Atmosfera w pokoju była przyjazna. Po jakimś czasie przyzwyczałem się już do ciasnoty, zresztą innego wyjścia nie było. Tylko bowiem ci, co mieli stwierdzone kłopoty zdrowotne, np. mieli gruźlicę, mieszkali w mniej zatłoczonych pomieszczeniach.

Łóżko oraz niecały metr przestrzeni przed nim był mój „ciasny, ale własny ką”. Mieszkając pod oknem byłem w tej dobrej sytuacji, że jeśli koledzy obiadali stół i trudno było przecisnąć się do drzwi, to mogłem opuścić pokój przez okno, jak „pan Fredek Ziółko” (Adolf Dymsha) w filmie „Skarb”.

Żarty żartami, ale w tej, choć tak przyjaznej, atmosferze narastała nostalgia. [...] Zarówno w pokoju, jak i w grupie uczelnianej byłem jedynym Polakiem. Dobrze, że chociaż codziennie spotykałem się z polskimi studentami z innych pokojów i grup uczelnianych. Na moim pierwszym roku studiów było nas 10, a na roku drugim – aż 18. Tyle tylko, że każdy żył w swoim świecie, zaabsorbowany swoimi sprawami. [...]

Dobrze, że ktoś tam we władzach troszczył się o nas, byśmy nie utracili tożsamości narodowej. Otrzymywaliśmy z kraju tygodniki: „Przekrój”, „Świat”, „Stolica”, „Film”. Wymienialiśmy je pomiędzy sobą po przeczytaniu. Były nawet ustalone harmonogramy obiegu tych czasopism. Ponadto w naszym Konsulacie można było wypożyczać książki w języku polskim. Był tam całkiem pokaźny księgozbiór ciekawych książek.

W Konsulacie odbywały się zebrania wszystkich studentów polskich studiujących w Kijowie. Na zebraniach omawiano sprawy związane z nauką, bytem codziennym, a także stosunki koleżeńskie. [...] Były także w Konsulacie spotkania uroczyste, ot chociażby z okazji rocznicy bitwy pod Lenino, którą stoczyła 12 października 1943 roku Pierwsza Dywizja im. Tadeusza Kościuszki. Attache wojskowy Konsulatu pan Gordon brał udział w tej bitwie i w sposób niezwykle zajmujący wspominał wydarzenia z tamtych heroicznych dni.

Mając jeszcze świeżo w pamięci doznane od Niemców upodlenia podczas wojny, słuchałem wspomnień pana Gordona, zarówno z przejęciem, bo przecież nie było tam łatwo, ale także z satysfakcją, że oto polscy żołnierze zmierzyli się z Niemcami w otwartym polu i bili się jak równy z równym, a nawet przerwali niemieckie linie obronne.

Krew polskiego żołnierza, niezależnie od jej odcienia, przelana w walce z wrogiem w imię wyzwolenia Ojczyzny, jest dla mnie ofiarą świętą. Nawet najbardziej zażarte dysputy i swary, czy deklaracje, nie mogą się w najmniejszym stopniu równać z ofiarą przelanej krwi. A przecież wciąż są jeszcze w Polsce ludzie, którzy bez ustanku wzniecają „potępieńcze swary” zamiast oddawać hołd i należną cześć tym, co walczyli o Polskę z narażeniem życia. Każdy polski żołnierz, który oddał swe życie za Ojczyznę w walce, czy to na zachodzie, czy na wschodzie, czy to na północy, czy na południu, był dla mnie i pozostanie synem tej samej ojczyściej ziemi. Wszystkim polskim żołnierzom, niezależnie od ich przekonań i niezależnie od tego, gdzie zostali pochowani, należy się cześć i chwała po wsze czasy. [...]

W połowie października jesień panoszyła się już na dobre. Na rabatach kwitły jeszcze wciąż jesienne kwiaty, ale leciały już z drzew żółte liście, robiło się coraz smutniej i z dnia na dzień coraz chłodniej.

W Instytucie i w domach studenckich włączono centralne ogrzewanie. To stało się moim kolejnym utrapieniem i to jakże przykrym. Przesuszone powietrze działało na mnie wprost zabójczo. Do tej pory, tj. do 22 roku życia, mieszkiałem tylko w pomieszczeniach ogrzewanych piecami kaflowymi. A tu teraz, w tym wysuszonym powietrzu, zatęchłym od nagranych lakierów i kurzu, czułem się jakbym był podpieczony, jakbym miał spuchnięte wnętrzości, niekiedy miałem wrażenie, że moje ciało po prostu się rozkłada na czynniki pierwsze.

W dodatku od okna ciągnęło zimno. W tej sytuacji ciągle byłem przeziębiony i czułem, że mam podwyższoną temperaturę ciała. Nie mierzyłem jej jednak, bojąc się, że oto dowiem się, iż jestem chory, a tu trzeba na bieżąco uczyć się i przygotowywać do zajęć praktycznych i laboratoryjnych. [...]

A swoją drogą to przyrzekłem sobie solennie, że już nigdy, ale to nigdy, nie zgodzę się na łóżko przy kaloryferze, pod oknem.

Lecz do terkotania *kotchożnika* to niestety trzeba się było przyzwyczaić. Nie można go było wyłączyć, bo koledzy z pokoju nie pozwalali. Miał grać, a mówiąc precyzyjniej, rzeźcić. W audycjach pełno było komunikatów z kolchozów, sowchozów i fabryk, adresowanych bezpośrednio do Stalina, o wysokich przekroczeniach planowych zadań. Odnosiło się wrażenie, jakby wszystko w tym wielkim kraju było własnością Stalina, jakby on tu był jedynym gospodarzem.

Nadawano także dużo muzyki poważnej. Koledzy z pokoju byli w tej muzyce tak osłuchani, że już po kilku taktach odgadywali tytuły wykonywanych utworów, nazwiska ich kompozytorów i wykonawców. Ja, niestety, przynajmniej przez kilka pierwszych tygodni nie brałem udziału w tych popisach, gdyż nie miałem żadnej wiedzy z zakresu muzyki poważnej.

Wydawało mi się, że lepiej znałem historię Europy i chętnie na ten temat wysuwałem zagadnienia do dyskusji, lecz zorientowałem się, iż koledzy, szczególnie gdy nie byli sami, dyskusji na tematy historyczne nie podejmowali. Szybko się także zorientowałem, że lepiej jest nie podejmować tematu o powiązaniach historycznych Ukrainy z Polską. Można było przysporzyć sobie jeśli już nie wrogów, to co najmniej niechętnych w gronie ludzi, z którymi przyszło obcować na co dzień.

Łatwiej natomiast było toczyć spory historyczne z Rosjanami. Ci bowiem, mając od stuleci zakodowane w sobie poczucie potęgi zamieszkałego przez swój naród terytorium, z pobłażaniem odnosili się do nacjonalistycznych nastrojów obywateli średnich i małych państw. Myśleli kategoriami globalnymi i chętnie porównywali swój kraj z Ameryką, mając oczywiście na myśli Stany Zjednoczone Ameryki. [...] Oficjalnie mówiło się o Ameryce jako o kraju, gdzie wyciska się pot z robotników w interesie bogaczy, gdzie prześladowani są Murzyni i gdzie szerzy się imperializm oraz ciągle dążenie do wojen. Ale w rozmowach prywatnych, takich co to w cztery oczy, można było spotkać się z opiniami zaskakującymi wręcz i aż dziw brał jak rodziły się takie nieprawomyślne poglądy w sytuacji, gdy tak łatwo można było znaleźć się, łagodnie mówiąc, na cenzurowanym. [...]

Wyraźnie odczuwałem brak oddanego przyjaciela i postanowiłem go znaleźć, zgodnie z rzymskim powiedzeniem, że szukać należy przyjaciół, bo bez przyjaciół życie jest smutne. Chciałem mieć kogoś, komu można by się zwierzyć z kłopotów, kogo można by się poradzić w chwilach zwątpienia. I los zesłał mi takiego przy-

jaciela, i to w najbardziej odpowiednim momencie, gdy czułem się naprawdę osamotniony.

Był w naszej grupie Wowa, który przyjechał na studia do Kijowa aż z *tambowskiej oblasti*. Wychowywał się tam w całkiem innym otoczeniu, pośród Wielkorusów i sprawy nacjonalizmu ukraińskiego prawie go nie interesowały. Miał bardzo przyjazne i niezwykle tolerancyjne usposobienie. Do nikogo nie żywił nienawiści. Nie interesowała go także wyższa polityka. Miał w sobie zakodowaną świadomość Wielkorusa o tym, że Rosja jest wielka i zawsze sobie poradzi w potrzebie. [...] Wowa najwidoczniej dostrzegł moje skłonności do samoudręki i najwyraźniej postanowił mi pomóc. To jego „*Ничего, Юзик, не волнуйся*”, ta jego otwarta, szczerza, uśmiechnięta twarz, to machnięcie ręki przy słowach „*спунда, ченуха*” – rozładowywało stresy i rozjaśniało horyzonty. Właśnie wtedy, kiedy zacząłem czuć się taki zagubiony w obcym środowisku, bardzo mi pomógł pozierać się ten wspaniały przyjaciel, o stoickim spojrzeniu na świat, zupełnie bezinteresowny Wowa. Przy nim poczułem się pewniej, znikło poczucie osamotnienia.

A czas wciąż płynął. Miało się już dobrze na zimę. Któregoś ranka zrobiło się na świecie zupełnie białe, wszystko przykryła warstwa czystutkiego śniegu. I tak zaczęła się moja pierwsza zima w Kijowie.

Zbliżał się czas zaliczeń i egzaminów. Będzie to więc moja pierwsza sesja egzaminacyjna w Politechnice Kijowskiej. Koledzy z drugiego roku opowiadali anegdoty o kapryśkach profesorów przyjmujących egzaminy, doradzali, jak należy się zachowywać, żeby się niepotrzebnie nie narazić.

Poważniały twarze studentów, przycichli nawet najzagorzalsi żartownisie. Dostrzegłem, że i mój przyjaciel Wowa, dotąd zawsze tak zrównoważony, teraz zrobił się jakby trochę markotny. Wiedział on bowiem o konieczności zdania wszystkich egzaminów na oceny co najmniej *хорошо*, gdyż inaczej nie otrzyma stypendium w następnym semestrze. Takie wtedy były zasady w radzieckim szkolnictwie wyższym. Stypendium otrzymywało się za dobre wyniki w nauce, niezależnie od sytuacji materialnej. Dla studentów spoza aglomeracji, gdzie znajdowała się uczelnia, nieotrzymanie stypendium oznaczało z reguły kilka miesięcy bytowania w trudnych warunkach materialnych. Większość z nich niewiele otrzymywała z domów rodzinnych, w których często brakowało poległych na wojnie ojców. [...]

Wszystko to mieli na względzie bardziej demokratycznie nastawieni profesorowie i „skazywali na głódówkę” tylko wyraźnie opornie nastawionych do nauki studentów. Bo jeśli ktoś systematycznie uczęszczał na wykłady i ćwiczenia, jeśli prowadził należycie notatki oraz systematycznie pracował w ciągu całego semestru, to był w stanie przygotować się w czasie kilku dni przed egzaminem tak, żeby uzyskać ocenę gwarantującą stypendium. A jeżeli mimo to nie powiodło się i nie było widoków na przetrwanie, to można było przenieść się na wydział górniczy, a tam stypendium przyznawano także za oceny dostateczne. [...]

Przed każdym egzaminem było zawsze kilka dni na powtórzenie przerobionego w ciągu semestru materiału. Rozplanowywałem więc sobie na każdy dzień powtórkę odpowiedniej ilości wykładów, a na ostatni dzień przed egzaminem powtórkę całości. Uczyłem się od wczesnego ranka do późnego wieczora. Noce przeznaczałem w całości na sen, żeby nie osiągnąć stanu skołowacenia. Nigdy nie miałem na tyle wytrzymałości, żeby uczyć się lub pracować po nocach.

Wypraktykowałem, iż uczyć się mogę tylko do określonej granicy i gdy poczuję, że głowa robi się nasyconą, przerywałem naukę i wychodziłem na spacer, żeby idąc przywoływać wyuczony materiał i poukładać go sobie w głowie, a później przez jakiś czas myśleć o niebieskich migdałach.

Spacerowało się w owym czasie po ulicach Kijowa z przyjemnością. Powietrze nie było jeszcze zatrute spalinami. Samochodów jeździło niewiele, głównie służbowe, a i te pod wieczór zjeżdżały do baz. W centrum miasta i na głównych arteriach komunikacyjnych podstawowym środkiem komunikacji miejskiej były trolejbusy. W tej sytuacji spacer głównymi ulicami miasta można było w pełni zaliczyć jako przebywanie na świeżym powietrzu. [...]

Ale oto nadszedł dzień pierwszego mojego egzaminu w Politechnice Kijowskiej. Przed salą egzaminacyjną znajome grono studentów z mojej grupy. Na twarzach wyrazy skupienia i zaniepokojenia. Jak też wypadnie ten pierwszy egzamin na wyższej uczelni?

Na pierwszy ogień weszli ochotnicy, którzy czuli się najpewniej ze zdawanego przedmiotu, a była to matematyka. Po upływie może 10 minut w szeroko otwartych drzwiach pojawił się roześmiany Wowa. On miał już ten egzamin z głowy. I taki cykl powtarzał się co kilka minut. Ci, co już zdali, chętnie dzielili się wrażeniami, powstała istna giełda bardzo przydatnych wiadomości. Można się było tutaj wiele nauczyć.

Już prawie połowa grupy była po egzaminie i jak dotąd wszyscy zdali na dobre oceny. Dojrzało i we mnie postanowienie, iż powinienem wejść i to właśnie teraz, co głośno wszem i wobec ogłosiłem. Nikt nie oponował. Tuż przed drzwiami poczułem dziwną pustkę w głowie, wydawało mi się, że wszystko zapomniałem. Ale zwątpienie to trwało tylko przez chwilę, bo kiedy z wyłożonych na stole egzaminatora kartek z pytaniami wybrałem jedną i popatrzyłem w nią, to już po drodze do ławki trema minęła. Teraz już wiedziałem o co będę pytany i wiedziałem, że znam odpowiedzi, przynajmniej na te pytania, które są na kartce, a to już dużo. Z pytaniami dodatkowymi też sobie jakoś poradzę.

Po kilku minutach namysłu pewnym już krokiem podszedłem do stołu egzaminatora i usiadłem na krześle obok. Czułem się całkowicie pewnie. Egzaminator pytał rzeczowo, nie wydziwiał. Otrzymałem najwyższą notę. Ogarnęło mnie błogie zadowolenie po tak udanym początku.

Resztę tego udanego dnia przeznaczyłem na rozrywki, a był to samotny spacer na Kreszczatiku i kino.

Nazajutrz już od samego rana przystąpiłem do przygotowania się do następnego egzaminu. Będzie to egzamin z fizyki. Koledzy z drugiego roku studiów powiedzieli mi, że egzaminator z tego przedmiotu jest zagorzałym zwolennikiem przypisywania wszystkich odkryć technicznych rosyjskim uczonym, że należy być przygotowanym na pytania o nazwiska tych rzekomych wynalazców. [...] Na szczęście egzaminator nie pytał mnie o rosyjskich wynalazców, a za znajomość wykładanego przedmiotu wpisał do indeksu najwyższą ocenę.

Niezwykle pracowita była ta moja pierwsza sesja egzaminacyjna na wyższej uczelni, ale wyniki dawały przecież satysfakcję. Nędznej trójczyny z żadnego przedmiotu nie złapałem. Nawet egzaminy z nauk społecznych poszły mi dobrze.

Złapanie trójczyny nie byłoby ostatecznie tragedią, bo tak po prawdzie to zagraniczni studenci otrzymywali stypendia nawet wtedy, jeśli zdawali egzaminy tylko na oceny dostateczne. No bo i z czego mieliby się utrzymywać? Rodziny były za dobrze strzeżoną granicą i pomoc nam w czasie naszego pobytu w Kijowie praktycznie nie mogły. Nie otrzymywaliśmy nawet świątecznych paczek. Waluty naszych krajów były niewymienialne dla zwykłych obywateli. Rozliczenia walutowe następowały na szczeblu rządowym. Zwykli obywatele nie mogli wymienić złotych na ruble i od-

wrotnie bez odpowiedniego upoważnienia na taką transakcję. [...]

Oceny dostateczne były wszakże źle widziane. Na zebraniach naszego Ziomkostwa omawiano wyniki sesji egzaminacyjnych, traktując je w kategoriach wykonawstwa planów produkcyjnych. Koledzy, którym przytrafiły się oceny dostateczne nakłaniani byli do poprawy tych ocen z pechowych dla nich przedmiotów. Na szczęście mnie to tym razem nie dotyczyło i mogłem w pełni cieszyć się wolnymi dniami ferii zimowych.

Ferie to czas niezwykle przyjemny dla studenta. Można będzie wysypiać się do woli i poleniuchować, słowem spędzać czas według własnego upodobania. Ot takie po prostu „*dolce far niente*” (słodkie nic nierobienie). Po tak trudnej sesji egzaminacyjnej byłem całkowicie przekonany, że odpoczynek mi się należy.

W czasie ferii zimowych domy studenckie prawie opustoszały. Pozostali praktycznie tylko studenci zagraniczni: Bułgarzy, Czesi, Węgrzy, no i my – Polacy. Byli jeszcze Chińczycy, ale kto tam z nimi się dogada. Podziwiałem ich wytrwałość, gdy zwykle od wczesnego już ranka, niby mnisi w swej ciemnej odzieży, snuli się ze słownikami w ręku w alejach parku przed Instytutem i na stadionie. Nie mogłem sobie nawet wyobrazić sytuacji, gdyby to mnie tak przyszło studiować na politechnice w Chinach. Na pewno bym nigdy na takie samobójstwo nie wyraził zgody.

Poza Chińczykami grupę, najbardziej wyrazistą swoją odrębnością, tworzyli Rumuni. Było ich stosunkowo dużo. Często zbierali się na portierni, w pobliżu telefonu i o czymś niezwykle zawzięcie i głośno dyskutowali. Oczywiście w swoim ojczystym języku. Obcość tego języka czemuś to drażniła jedną z portierek, będącą w starszym już wieku, która donośnym, prawie nakazowym głosem zwracała się o uciszenie tych hałaśliwych dyskusji. Przycichali, ale tylko na chwilę. Po prostu nie potrafili uporać się z wrodzonym sobie, południowym temperamentem. Trzeba przyznać, że większość z nich to byli przystojni chłopcy. Cieszyli się powodzeniem u dziewcząt i korzystali z tego. Zapewne dlatego młodsza z portierek lubiła, gdy znajdowali się obok jej stanowiska pracy i przymilnie do nich szczyrzyła ząbki.

Na początku moich czasów studenckich w Kijowie nie chodziło się do kawiarni z tej prostej przyczyny, że kawiarni, takich jak my je znamy, w Kijowie w owym

czasie jeszcze nie było. Restauracje, owszem, były, nawet z dansingami, lecz studenci z pierwszego roku praktycznie tam nie chodzili. A jeśli już znalazł się odważny, i mimo wszystko poszedł na dansing, to potem na zebraniach oficjalnie podawano, że taki to a taki włóczy się po restauracjach. A gdyby tak otrzymywał przy tym słabsze noty na egzaminach, to wtedy musiałby się gęsto tłumaczyć i to zarówno w wąskim, jak i szerokim gronie. W latach późniejszych zmieniło się to zdecydowanie.

Bardzo popularne było w owym czasie chodzenie do kina. Najwięcej oczywiście wyświetlano filmów radzieckich, lecz sporo też było filmów włoskich i francuskich. Były także filmy amerykańskie. Rekordy frekwencji bił wtedy amerykański film „Tarzan”. Ja, podobnie jak większość moich rówieśników w owym czasie, lubiłem kino. Do niektórych kin wchodziło się jak do pałaców. Były to okazałe budynki z bogato zdobionymi fasadami. Nastrojowa atmosfera panowała w poczekalniach. Ludzie przyglądali się sobie nawzajem z zaciekawieniem, niekiedy spotykało się znajomych.

W ciągu półtorej godziny, a czasami i dłużej, człowiek przebywał w „rajskiej krainie ułudy” i całkowicie się odprężył. Czasami, zupełnie przypadkowo, dodat-

kową atrakcją było i to, że siedziało się obok pochłoniętej fabułą filmu *чорнобривої молодийци*. Było to też swojego rodzaju przeżyciem, jako że w owym czasie to ja bliższych zażyłości z dziewczynami jeszcze nie miałem. [...]

Mówiąc o rozrywkach kulturalnych wspomnieć należy, że chodziło się także do teatru lub do opery. Często były to zorganizowane wycieczki dla całej grupy uczelnianej.

Natomiast jeśli chodzi o telewizję, to chociaż Kijowskie Centrum Telewizyjne zostało oficjalnie otwarte już 7 listopada 1951 roku, to jednak na oglądanie jego programów w domach studenckich trzeba było jeszcze długo poczekać.

Dużo wolnego czasu spędzałem na czytaniu książek. Polska książka była zawsze dla mnie najlepszym przyjacielem. Książki w języku polskim wypożyczano się w naszym Konsulacie. Był tam całkiem pokaźny księgozbiór klasyków literatury polskiej. Często tam bywałem. Na obczyźnie dobra polska książka przywraca poczucie własnej godności narodowej, uodparnia na wszelkie przeciwności życia codziennego. Człowiek nie czuje się już taki zagubiony w środowisku o obcych obyczajach.



Politechnika Kijowska, stołówka studencka. Fotografia z 1959 r.

Dla podniesienia poziomu znajomości języka rosyjskiego próbowałem czytać w oryginale książki pisarzy rosyjskich, ale czemuś to nigdy nie nabrałem do tego przekonania. Co innego literatura specjalistyczna, podręczniki do nauki. Tutaj po prostu nie było wyboru i trzeba było korzystać z książek w języku rosyjskim.

Bardzo dobrze się złożyło, że podczas ferii zimowych zorganizowano dla nas wycieczkę po Kijowie i to z przewodnikiem. Zwiedziliśmy miejsca związane z dawną historią miasta oraz pomniki nowszych już czasów. Powinno się przecież mieć szersze wiadomości o mieście, w którym się mieszka, żeby umieć nań patrzeć, zarówno na co dzień, jak i od święta.

I tak dowiedziałem się, że pierwsze pisane wiadomości o Kijowie pochodzą z VIII wieku, z kroniki ormiańskiej. Nestor w swojej kronice podał, że już w VI-VII wieku nad brzegami środkowego Dniepru, z głównym ośrodkiem w Kijowie, istniało księstwo związku plemiennego Polan. Należy zaznaczyć, że jakoby nie udowodniono pokrewieństwa plemion Polan nad Dnieprem i nad Wartą.

Pierwsze świadectwa dotyczące chrześcijaństwa Rusów odnoszą się do lat 860–870. W wieku X w Kijowie istniała już cerkiew św. Ilii (Eliasa), chrześcijańskiego odpowiednika Peruna. Około 988 r. książę Włodzimierz przyjął chrzest wraz ze swymi bojarami i pod groźbą kar zmusił do przyjęcia chrztu kijowian oraz wszystkich poddanych. Wiarę chrześcijańską przyjęto z Bizancjum. Ojciec Włodzimierza był zapamiętałym poganinem, mimo że jego matka, a więc babka Włodzimierza, była już chrześcijanką.

Po wprowadzeniu chrześcijaństwa wygasły na Rusi stosy pogrzebowe, na których palono zabijane niewolnice, po śmierci tych, którym za życia służyły. Prawosławna wiara chrześcijańska sięgnęła daleko na zachód i różnicowała narody słowiańskie.

Kiedy przewodnik zaprowadził nas do Złotej Bramy, obudziły się moje ciągoty do rozpamiętywania dawnych wydarzeń historycznych. Złota Brama w Kijowie znana mi była dobrze z nauki historii Polski. Według pisanej po łacinie historii niemieckiego kronikarza Thietmara to tędy miał wjechać do Kijowa w 1018 r. polski król Bolesław Chrobry ze swoimi wojami, ażeby pomóc spokrewnionemu przez żonę Światopelkowi w odzyskaniu władzy w Kijowie. Thietmar o ówczesnym Kijowie pisał jako o wielkim i ludnym grodzie, gdzie jakoby znajdowało się ponad 400 świątyń i

8 placów targowych. Pamiętam z nauki historii, że Chrobry uderzył mieczem o bramę i że miecz ten się wyszczerbił. Szczerbiec stał się jednym z symboli narodowych w naszej historii. Kiedy wspomniałem przewodnikowi o tym fakcie, odpowiedział, że w 1018 r. bramy tej jeszcze nie było, gdyż zbudowana została w 1037 r. przez Jarosława Mądrego. Nie była to odpowiednia pora na rozstrząsanie tak poważnych sporów historycznych. Ja wszakże pozostałem przy swoim, co też głośno oznajmiłem.

Po odejściu Polaków z Kijowa na stolcu książęcym znów zasiadł Jarosław Mądry. Wydawał on ogromne sumy na upiększenie swojej stolicy. Zbudowano wówczas, sławny do dziś, zabytkowy sobór św. Zofii. Zmarł Jarosław w 1054 r., przeżywszy 76 lat. W soborze św. Zofii umieszczono na murze inskrypcję „o zaśnieściu naszego cara”.

W połowie XI wieku założona została Pieczerska Ławra (Pieczerski Klasztor), która stała się znakomitą akademią duchowną. Kijów nazywano w owym czasie ozdobą Wschodu i rywalem Konstantynopola. Za Jarosława Mądrego przełożono wiele ksiąg z języka greckiego na ruski i licznie je przepisywano. W owym czasie nie było jeszcze ksiąg w językach ojczystych w sąsiednich krajach słowiańskich.

O dziejach owych czasów najwięcej dowiadujemy się z *latopisu* (kroniki) Nestora, nadwornego kronikarza Światopelka. Nestor był mnichem w Pieczerskiej Ławrze. W katakumbach tego klasztoru można oglądać zwłoki mnichów pochowanych w pierwszej połowie drugiego tysiąclecia. Mikroklimat w katakumbach okazał się wyjątkowo sprzyjający naturalnej dehydracji zwłok – samoistnego wyschnięcia ciał w zamkniętych celkach grobowych.

Przewodnik zaprowadził nas także pod znajdujący się na wysokim wzgórzu pomnik księcia Włodzimierza, postawiony tu w 1853 r. Odtąd patron Kijowa Włodzimierz, dzierżący w rękę wielki krzyż, ustawiony na wysokim cokole, spogląda na Dniepr i okolicę. A widok stąd jest nadzwyczaj piękny: las białych wież i złocistych kopuł unoszący się ponad gęstwinę drzew, porastających zbocza wysokich wzgórz, które wznoszą się ponad błękitną wstęgę Dniepru. Roztacza się stąd szeroka panorama na lewobrzeżną równinę zadnieprzańską. Widać rzekę, plażę, zarośla, a dalej aż po horyzont rozciąga się bezkresny zdawałoby się step. Pomyślałem sobie, iż hen, tam w stepie są kurhany, ponad którymi wieje suchy stepowy wiatr. Są to mogiły

wodzów plemiennych i królów Scytów, zamieszkujących tę ziemię na wiele wieków przed naszą erą.

Ogarnęła mnie głęboła zaduma nad dawną przeszłością tej ziemi. Tak tu jest nastrojowo przy tym pomniku Włodzimierza! Ale przewodnik chciał nam jeszcze pokazać także i inne ciekawe miejsca, a dzień zimowy był taki krótki.

Rozwój Rusi Kijowskiej został przerwany przez Tatarów, którzy podbili te ziemie w 1240 r. Później ziemie te od roku 1362 wchodziły w skład Wielkiego Księstwa Litewskiego, a od 1569 losy Kijowa przez 85 lat były blisko związane z Polską.

Walki społeczno-narodowe narodu ukraińskiego były uciążliwe dla obu stron. Przewodnik zaprowadził nas właśnie pod pomnik Bogdana Chmielnickiego, głównego przywódcy powstania, po którym w 1654 r. Kijów i lewobrzeżna Ukraina zostały przyłączone do Rosji. Duży wpływ na to miały różnice w obrzędach wiary prawosławnej i rzymskokatolickiej.

Pomnik Chmielnickiego, wystawiony w latach 1869–1888, usytuowano na placu Chmielnickiego, w pobliżu soboru św. Zofii. Na spiętym w galopie koniu znajduje się krępa postać jeźdźca z buławą w wyciągniętej prawej ręce, wskazującej na Moskwę. Pomnik jest ustawiony na wysokim, kamiennym postumencie.

Ktoś z wycieczki głośno wypowiedział swoją myśl, że Chmielnicki był Polakiem, o czym świadczy to, że na pomniku podano tylko imię i nazwisko, a nie podano „*otczestwa*” (imienia ojca).

Takie to wiedliśmy dyskusje historyczne z naszym przewodnikiem w trakcie tej niezwykle ciekawej wycieczki.

Zgodnie z duchem ówczesnego czasu odwiedziłyśmy także miejsca upamiętniające rewolucję październikową. Opowiedział nam też przewodnik o losach Kijowa w czasie II wojny światowej. Niemcy podeszli pod Kijów już w czerwcu 1941 r. Armia Czerwona poniosła pod Kijowem największą swoją porażkę w 1941 r. Zginęło ponad pół miliona żołnierzy i oficerów. Dowódca zgrupowania Kirponos zginął, walcząc wraz ze swoim sztabem w okrążeniu. Wojska niemieckie wkroczyły do Kijowa we wrześniu 1941 r. W ciągu 782 dni okupacji Niemcy wymordowali ponad 220 tysięcy mieszkańców miasta. Już w pierwszych tygodniach po wejściu do Kijowa Niemcy rozstrzelali w Babim Jarze ponad 80 tysięcy mieszkańców pochodzenia żydowskiego.

Kijów został wyzwolony 6 listopada 1943 r. Miasto było w dużym stopniu zniszczone, szczególnie w części

centralnej. Toteż teraz właśnie tutaj był największy plac budowy.

Nastał wieczór, byliśmy już zmęczeni, przydałby się jakiś, choćby mały odpoczynek. Dostrzegł to najwyraźniej przewodnik i pocieszył nas, że właśnie idziemy do planetarium i tam będzie można usiąść. No i dobrze się składa, że niebo jest gwiazdziste, to sobie te gwiazdy pooglądamy przez lunetę. [...]

A tak *suma-sumarum* to wycieczka bardzo się przydała. Sporo się człowiek dowiedział o Kijowie. Innym okiem spojrzę teraz na to miasto, które stało się miastem mojej młodości. Będę tutaj przecież mieszkał jeszcze cztery i pół roku.

Dobiegła końca zimowa przerwa semestralna. Znowu zapełnił się dom studencki. Przyjechali współlokatorzy z pokoju. Z rodzinnych domów przywieźli zapasy żywności, często upominki od swoich bliskich. Trochę im nawet zazdrościłem tych domowych gościńców, bo mnie tutaj nikt nic nie podaruje ani nie przyśle. A była przecież gwiazdka. W rodzinnym domu na pewno jakiś upominek bym od ojca dostał.

Jako ostatni w pokoju zjawił się Genadij, nasz pokojowy żartowniś. Zajmująco opowiadał o przygodach w podróży. Jechał *zajcem* (na zająca) pociągami towarowymi, tj. na gapę, bez biletu. Za zaoszczędzone pieniądze zamierza kupić sobie *ливерную колбасу* (kiszka wątrobianą), której przydano honorową nazwę *студенческая колбаса*. Tani to był gatunek wędliny, ale też i podły. Gdzie jej tam było do naszej polskiej pasztetówki! Szkoda, że kaszanki, podobnej do naszej, nie mogłem kupić w Kijowie. Tę, którą robił mój ojciec, przekładałem ponad inne wyroby.

Swojsko poczułem się pośród studenckiej braci w podwojach Instytutu. Znow zaczęły się wypełnione nauką dni, tygodnie i miesiące. Na korytarzach już w pierwszym dniu nauki pojawiły się ruchome kioski z pierożkami nadziewanymi mięsem lub powidłami. Nawet smakowały mi te pierożki, często jeszcze ciepłe, ociekające olejem słonecznikowym. Znajdowały one wielu nabywców. Były dość duże. Dwoma pierożkami można było zaspokoić doraźny głód.

W pierwszych dniach nauki w nowym semestrze, gdy głowa nie była jeszcze skołowana i nie ciążyła do ziemi, zacząłem ze zdumieniem dostrzegać, że główny gmach naszego Instytutu ma ciekawą ornamentykę. Bogato zdobione są portale, sufity, a nawet balustrada przy głównych schodach. Także fasada zewnętrzna bu-

dynku została ciekawie i harmonijnie ozdobiona. Być może ta wrażliwość na piękno pobudzona została podczas zwiedzania zabytków miasta i teraz przywoływała refleksje już w codziennym życiu. [...]

Tak po prawdzie to gmach naszego Instytutu żądnym osobliwym, jednorodnym stylem się nie wyróżnia. Zbudowany został w 1898 r. i jak większość gmachów państwowych z tego okresu ma architekturę eklektyczną, mieszaninę różnych stylów. Dominującymi są elementy stylu romańskiego.

Po kilku tygodniach zajęć mózg mój znów był zaabsorbowany bez reszty trawieniem wzorów matematycznych i pojęć fizycznych. Teraz, z perspektywy lat, można z całą pewnością stwierdzić, iż w tamtych latach w Politechnice Kijowskiej poziom nauczania przedmiotów podstawowych był wysoki. Gruntowna wiedza podstawowa kształtowała umysły i kładła solidne fundamenty pod przyszłą działalność inżynierską. Wiedza specjalistyczna ulega ciągłemu rozwojowi i trzeba ją uzupełniać na bieżąco, podczas pracy w danym zawodzie. Łatwiej to wszakże przychodzi, gdy się ma ku temu solidną bazę.

Niestety, ku mojemu utrapieniu do tych podstawowych przedmiotów należała także chemia. Nie zamierzałem zostać chemikiem; ale jeśli ten przedmiot był w programie nauczania i to w dużym wymiarze godzin, to nie sposób było go obejść. [...] Wykłady i zajęcia laboratoryjne odbywały się w oddzielnym budynku, nazywanym *химкорпус*. [...] Wykłady z chemii prowadzone były przez profesora o dużej wiedzy i dużym wyczuciu dydaktyki. Słuchało się ich z zaciekawieniem. A swoją drogą to chemia na tej uczelni miała swoje tradycje. Wykładał tutaj sam Mendelejew.

Konieczniew, ale to konieczniew musiałem podciągnąć się z gramatyki języka rosyjskiego. Zdawałem sobie bowiem sprawę z tego, że przebywając pośród ludzi wykształconych powinienem wyrażać się poprawniew, a i w tekstach pisanych należałoby unikać błędów. Możliwość taka istniała. Dla studentów zagranicznych prowadzony był lektorat języka rosyjskiego i to w całkiem pokaznym wymiarze godzin. Był to dla nas język obcy o skomplikowanej gramatyce. Nauce tego języka trzeba było poświęcić dużo czasu i wysiłku. Dobrze, że nie mieliśmy obowiązku nauki innych języków obcych, obowiązkowych dla studentów radzieckich. Mieli oni do wyboru język angielski lub niemiecki.

Jako obcokrajowcy nie mieliśmy także obowiązku brania udziału w zajęciach przysposobienia wojskowego. Tak po prawdzie to ja w pierwszych tygodniach nauki uczestniczyłem w zajęciach wojskowych. Ciekaw byłem, jak ćwiczona jest armia, która sprostała sztuce wojennej Niemiec w II wojnie światowej. Doszedłem wszakże do wniosku, iż szkoda na to czasu, oświadczyłem więc, że jestem pacyfistą i na tym skończyła się moja edukacja z zakresu przygotowania się do trzeciej wojny światowej.

To raczej retoryczne i bynajmniej niezamierzone oświadczenie o pacyfizmie spowodowało, że z armią miałem spokój po wsze czasy. Musiało to zostać zapisane w jakichś ważnych dokumentach. Kiedy po studiach wróciłem do kraju, dano mi tylko stopień szeregowego i na żadne ćwiczenia wojskowe nie byłem nigdy powoływany. Koledzy, i to nawet ci, co nie uczęszczali na zajęcia wojskowe, otrzymywali stopnie podoficerskie, byli powoływani na okresowe ćwiczenia wojskowe i dostawali awanse. A ja nic. Zawsze byłem szeregowym. [...]

Wróćmy wszakże do nauki. Otóż katedra spawalnictwa, chcąc najwidoczniej zainteresować tą dziedziną techniki swoich adeptów i to już na początku studiów, organizowała spotkania z wykładowcami. Prowadzone były także pokazowe doświadczenia naukowe w laboratoriach. Uczestniczyła w tym cała moja grupa uczelniana. Pokazywano działanie automatycznych aparatów spawalniczych, zapoznawano z osiągnięciami uczonych wywodzących się z tej katedry. Najbardziej wybitnym był akademik Eugeniusz Paton. Podczas wojny zasłużył się przy opracowaniu i wdrożeniu metody automatycznego elektrycznego spawania płyt pancernych, co w dużym stopniu przyczyniło się do przyspieszenia produkcji broni pancerniej. Nagrodzony został najwyższymi odznaczeniami i nagrodami państwowymi. Imieniem akademika E. Patona nazwano most na Dnieprze o całkowicie spawanej konstrukcji, oddany do użytku w 1953 r. Most ten ma 1543 metry długości i budowany był pod nadzorem E. Patona.

Wszystko to było ciekawe i zachęcające, tylko że po każdym dłuższym pobycie w zadymionym spalinami laboratorium bolała mnie głowa i było mi po prostu niedobrze. Stwierdziłem, że ja do pracy w takich warunkach najwyraźniej się nie nadaję. [...] Postanowiłem więc poczynić zdecydowane starania o przeniesienie mnie na wydział elektryczny i to za wszelką cenę, nawet za cenę wyjazdu do kraju. Chciałem budować

maszyny elektryczne, a nie dusić się w spawalniczych smrodach.

Sroga była zima tego roku w Kijowie. Długo trzymały tęgie mrozy, spadło dużo śniegu. Monotonnie upływały dni studenta pierwszego roku KPI – rano golenie się jakże tępyimi żyletkami *newa*, toaleta, kilka wymachów ramion, że to niby gimnastyka, śniadanie i krótki spacer przez park po drodze do Instytutu. Po wykładach całkiem solidny obiad w stołówce studenckiej, skromne zakupy w *gastronomie* na rogu ulicy i powrót do ciasnego pokoju. Po krótkim odpoczynku przygotowanie zadań na dzień następny i sen. Czasem kino i spacer po Kreszczatiku, wtedy jeszcze samotnie lub z kolegą. [...]

Pośród szarzyzny codziennego życia powoli budziła się wiosna. Zima wszak, jakby nie dając za wygraną, wciąż jeszcze prószyla mokrym śniegiem. Gdy jednak zaświeciło słońce, śnieg szybko zniknął, a tu i ówdzie zieleń się już kępki świeżutkiej, soczystej trawy, zakwitły nieśmiało pierwsze kwiatuszki, a z nabrzmiałych pąków wyłaniały się delikatne seledynowe listki. Z dnia na dzień tej wiosny przybywało. [...]

Gdzieś tak w połowie kwietnia dało się już zauważyć przygotowania do obchodów święta 1 Maja. Na stadionie ćwiczyły kolumny sportowe z barwnymi szturmówkami. Te dorodne, urodziwe dziewczyny i rośli, przystojni chłopcy, ubrani w kolorowe dresy, będą maszerowali na czele pochodu naszego Instytutu. A jest na co popatrzeć: doprawdy pięknie się prezentowały te zwarte, barwne kolumny wybranej młodzieży.

Wolne od zajęć będą dwa dni: 1 Maja będzie pochód, a dzień następny pozostaje do własnej dyspozycji.

Dzień 1 maja był słoneczny i ciepły. Panował nastrój uroczysty, wręcz podniosły. W alei parkowej, tuż przed gmachem Instytutu, sformowały się wydziałami kolumny pochodu. W lekkiej świątecznej odzieży barwnie wyglądała ta, na co dzień tak szara, brać studencka.

Koledzy ze starszych lat studiów paradowali z przewieszonymi przez ramię aparatami fotograficznymi i od czasu do czasu pstrykali zdjęcia na pamiątkę. Bo przecież tych pamiątek z lat młodości nigdy nie jest za wiele. Szkoda, że o to wtedy się nie zatroszczyłem.

Ruszył pochód. Szliśmy udekorowanymi ulicami Kijowa do centrum miasta. To dobre kilka kilometrów

drogi, ale wiosną bardzo wskazany jest taki długi spacer dla uczącej się młodzieży, przysiadającej fałdy spodni i spódnic. Maszerowało się całkiem przyjemnie, było wesoło pośród grona znajomych koleżanek i kolegów. Po przejściu przed trybuną na Kreszczatiku można było zatrzymać się na szerokim chodniku i popatrzeć na maszerujące kolumny z innych uczelni, czy zakładów pracy. Trzeba przyznać, iż pochód pierwszomajowy był bardzo strojny i warto było nań popatrzeć.

Po południu mieszkańcy miasta spotykali się zwyczajowo na składkowych prywatkach. My także w gronie kolegów postanowiliśmy wspólnie spędzić popołudnie przy butelkach z rozweselającymi napojami. Najwidoczniej nikt z nas nie miał żadnego doświadczenia w doborze trunków i zakąsek. I tak kupiliśmy po butelce likieru, wina i koniaku oraz słodczyce i tort. Taki, całkowicie nie męski zestaw trunków pitych dużymi haustami ze szklanek i słodkie, lepkie, duże porcje tortu zamąciły nie tylko w głowie, ale i w organach trawienia. [...]

W połowie maja wiosna w Kijowie ukazuje całą swoją krasę. Fascynują obsypane białym i różowym kwieciami drzewa kasztanowców, mienią się kolorami w słońcu duże rabaty tulipanów.

Ale czy student I roku Politechniki ma prawo poddawać się na wiosnę sentymentalnym nastrojom i rozklejać się w marzeniach? Ależ gdzież tam! Jego sposób myślenia kształtują precyzyjne reguły nauk ścisłych i troski dnia codziennego. Bo oto zaczynają się zaliczenia z ćwiczeń i ani się człowiek spostrzeże, gdy nadchodzi czas egzaminów. Pora więc zabierać się do powtórki przerobionego materiału – jest to najlepszy sposób na jego utrwalenie. I znów powoli następuje ten przykry stan nadmiernego przeciążenia głowy, stan zubożenia na wszelkie pokusy natury i na ciągoty do uciech.

Teraz wiosną, w dni pogodne i ciepłe, uczyć się można było także w parku, gdzieś na ukrytej w zarosłach ławce. Więcej było tlenu, dookoła cisza i spokój, nawet ptaszki śpiewały. W takiej to nastrojowej atmosferze nauka przychodziła jakby łatwiej. Dla odprężenia można było odłożyć książkę czy konspekt i posłuchać ptaków. A śpiewały one tam, na dalekiej Ukrainie, równie ochoczo, jak na moim rodzinnym Mazowszu. [...]

W pierwszej kolejności należało uporać się z zaliczeniami. Studentom, którzy systematycznie pracowali

w ciągu semestru i osiągnęli dobre wyniki, prowadzący ćwiczenia wykładowcy wpisywali do indeksów zaliczenia bez zadawania dodatkowych pytań. W taki to honorowy sposób zaliczyłem matematykę. Dobry to był *omen* przed egzaminem z tego przedmiotu.

Przystępując do egzaminów drugiej sesji nie byłem już taki spięty i ciężko przerażony, jak to miało miejsce przed pierwszymi egzaminami w Instytucie. Miałem teraz już pewne doświadczenie, można powiedzieć nawet wypracowany system w przygotowywaniu się do egzaminów, a także w ich zdawaniu. Znacznie też lepiej znałem język rosyjski i przy studiowaniu podręczników nie męczyłem się już tak szybko.

Przekonałem się już także, że profesorowie i wykładowcy są z reguły życzliwie nastawieni do studentów, zachowując oczywiście pryncypialność przy ocenie wiedzy. Nie było złośliwego naigrywania się nad drżącym przed niską oceną studentem. Panowała rzeczowa atmosfera. [...]

Pierwszy egzamin w sesji wiosennej wypadł z chemii. Nawet byłem z tego zadowolony, bo jeśli już zda-

wać egzamin z chemii, a zdać przecież musowo, to najlepiej byłoby zdać go na samym początku sesji, gdy ma się większy zapas sił i cierpliwości do nauki. A egzamin ten uważany był powszechnie za trudny. W każdym razie, czy się tę chemię lubi, czy też nie, to i tak egzamin trzeba zdać. Przegryzłem się zapamiętałe i z samozaparciem przez opasły, dużego formatu podręcznik w czarnych okładkach, autorstwa Glinki. W nocy przed egzaminem miałem przyjemny sen, co zazwyczaj jest u mnie zapowiedzią pomyślnego dnia. To tajemnicze przecucie spełniło się i tym razem. Na egzaminie z chemii otrzymałem najwyższą ocenę. Jakże ja byłem szczęśliwy! Przechwalałem się tą oceną przed polskimi kolegami z drugiego roku, szczególnie przed tymi, co najbardziej mnie straszili. Oni to mieli już dawno za sobą, ale przecież zdawali sobie sprawę z tego, ile to wysiłku musiałem włożyć, żeby „wyrzucić tę chemię na blachę”, na tak wysoką notę. Gratulowali mi z uznaniem. A ja raz jeszcze przekonałem się, iż „chcieć to móc”, no i także o tym, że przyjemne sny miewam



Gmach główny KPI. Janusz Fuksa – Przewodniczący Stowarzyszenia Wychowanków Politechniki Kijowskiej obok popiersia prof. Wojciecha Świętosławskiego

przed egzaminem, do którego jestem dobrze przygotowany.

Najwyższe noty uzyskałem także z następnych trzech egzaminów. Tylko z rysunku technicznego dostałem czwórkę i na to nie było żadnej rady. Niestety, nie mam żadnego daru do odręcznego szkicowania, a już całkowicie źle jest z charakterem pisma.

Moja średnia ocen w tej sesji wyniosła 4,8 i wiedziałem już na pewno, że nie będę musiał się tłumaczyć na zebraniu Ziomekostwa z wyników w nauce.

I tak oto pierwszy rok studiów na Politechnice, uznawany za najtrudniejszy, miałem już za sobą. Za-

szczenie będę mógł cieszyć się wakacyjnymi uciechami. Szkoda tylko, że wakacje na uczelniach radzieckich były krótsze niż w Polsce i trwały praktycznie tylko dwa miesiące. Egzaminy na pierwszych dwóch latach studiów ciągnęły się prawie do końca czerwca, a rok akademicki zaczynał się już pierwszego września.

Na wakacje wybierałem się do Polski. Czekałem na to z utęsknieniem, od dłuższego już czasu, i chociaż brzmi to może i patetycznie, lecz nie było w tym żadnej przesady. Bardzo chciałem i to jak najszybciej zobaczyć swój kraj rodzinny i swoich bliskich.

Zachowano pisownię oryginału

GRATULACJE SWPK

Z okazji jubileuszowego setnego numeru KRYNICY składam Pani Redaktor Naczelnej i wszystkim współpracownikom Redakcji w imieniu Sekcji Wychowanków Politechniki Kijowskiej i swoim własnym serdeczne gratulacje i wyrażam słowa uznania za dotychczasową działalność dziennikarską i pisarską.

Sekcja Wychowanków Politechniki Kijowskiej od 95 już lat działa na rzecz rozwijania współpracy i umacniania przyjaznych kontaktów między polskimi i ukraińskimi środowiskami naukowo-technicznymi, co prowadzi do zbliżania obydwu narodów. Uosobieniem idei współpracy naszych narodów w dziedzinie nauki i techniki był absolwent Politechniki Kijowskiej profesor Wojciech Świątostawski.

Idei współpracy służy także KRYNICA, która od wielu lat upowszechnia wiedzę o życiu i losach Polaków na Ukrainie i popularyzuje dokonania najwybitniejszych z nich. Z powodzeniem krzewi w polskiej społeczności Ukrainy zainteresowanie ziemią ojczystą, jej historią i kulturą, a także związkami łączącymi narody polski i ukraiński. Za wieloletnią społeczną, pełną poświęcenia służbę w misji zbliżania narodów należą się Redakcji wielkie podziękowania.

Proszę przyjąć życzenia wielu sukcesów w dalszym redagowaniu kwartalnika, wytrwałości w dążeniu do realizacji postawionych sobie celów i satysfakcji z pracy. Proszę też przyjąć szczere życzenia dobra i pomyślności, powodzenia i radości, szczęścia i zdrowia w życiu.

*Przewodniczący SWPK
Janusz FUKSA*

Wrocław



SERCE I ROZUM

Opowiadanie Jerzego Jafa uzyskało jedną z drugich nagród w konkursie Sekcji Wychowanków Politechniki Kijowskiej z 1962 r.

Janusz FUKSA

Jurek otworzył okno. Nad Kijowem zapadał zmierzch. Niebo było szare i mdłe. Za oknem błyszczał dach Instytutu Lotniczego. Drzewa przy ulicy stały w bezruchu, nie kołysała się ani jedna gałązka. Dawał się słyszeć równomierny szum; widocznie mżył marcowy deszcz.

Jurek szybko przebrał się w najlepsze swoje ubranie, narzucił płaszcz i, zamknąwszy drzwi na klucz, wyszedł z domu studenckiego. Szedł ulicą patrząc przed siebie, nie dostrzegając nawet wysokich budynków z prawej strony ulicy, ani z lewej domków przetrwałych okres chyba kilkudziesięciu już lat. Był to dla niego widok, do którego zdążył się przyzwyczaić. Ulicę Polną przemierzał codziennie już prawie cztery lata. Znał tu każde drzewo, każdą dziurę w asfaltowym chodniku i jezdni wybrukowanej okrągłymi kamieniami. Cicha, spokojna uliczka, stanowiąca granicę między obszarem zajęтым przez park i zabudowania Politechniki a resztą Dzielnicy Październikowej, w tej chwili była pusta, szara i smętna.

Uliczka się skończyła. Jurek był na przystanku tramwajowym. Chwila oczekiwania – i siedział już w tramwaju linii 23.

Lekko kołysał się ogromny ryski wóz. Widok za oknem wciąż się zmieniał. Przepłynęły już w mroku parki Politechniki i Ogrodu Zoologicznego, pozostały w tyle małe zapadające się w ziemię domki i wyrastające tuż za nimi wielopiętrowe bloki. Tramwaj ominął budowę nowego wiaduktu na skrzyżowaniu Szosy Brzesko-Litewskiej i ulicy Lotniczej, przejechał obok Placu Zwycięstwa i skręcił w ulicę Saksagańskiego.

Jurek wyszedł z wozu. Był na miejscu. Jeszcze kilkakaset metrów i, rozglądając się, wchodził do gmachu szkoły dziesięcioletniej.

– *Pan z ziomkostwa polskich studentów?*

– *Tak.*

– *Nasi pionierzy już z niecierpliwością oczekują.*

Jakaś czarnowłosa dziewczyna wprowadziła go do sali, pełnej roześmianej i rozbrykanej dziatwy szkolnej. Na widok nieznanego dzieci uciszyły się, zajęły miejsca na krzesłach i ławkach świetlicy.

Towarzysząca Jurkowi dziewczyna otworzyła zbiórkę. Zakomunikowała, że drużyna pionierska gości dziś przedstawiciela polskich studentów, który opowie o swoim kraju.

Jurek wszedł na scenę. Już nie pierwszy raz występował w szkole, ale i tym razem odczuwał lekki niepokój. Miał przed sobą dziesiątki par oczu dzieci ubranych w mundurki i czerwone chusty. Oczekują od niego czegoś ciekawego i nowego. Czy potrafi im to dać?

Rozpoczął od opowieści o polskich kolegach – harcerzach, ich nauce, pracy i wypoczynku. Początkowo niepokój już przeszedł. Jurek opowiadał coraz pewniej i płynniej. Mówił o pięknej stolicy Polski Warszawie, która jest tak duża jak Kijów, o wysokim Pałacu Kultury, wyższym niż wieżowiec przy Kreszczatiku, o szerokiej rzece Wiśle, bardzo podobnej do Dniepru. Dzieci w ciszy chłoneły opowieść, reagując wyrazem swoich twarzy na słowa prelegenta.

Jurek ukradkiem spojrzął na zegarek. Mówił już godzinę. Należało kończyć. Po zejściu prelegenta ze sceny zerwały się oklaski. Dzieci otoczyły go, aby dodatkowo porozmawiać na interesujące je tematy.

Stopniowo grupka pionierów topniała. W końcu dzieci się rozeszły. Pozostała tylko czarnowłosa dziewczyna – opiekunka drużyny pionierskiej i zasypywała Jurka wciąż nowymi pytaniami z dziedziny metod pracy harcerskiej. Interesowały ją zarówno sposoby przeprowadzania zbiórek, jak i rola harcerstwa w szkole, stopnie i funkcje w ZHP, gry, zabawy, wycieczki, podchody i wiele innych zagadnień, które Jurek znał z okresu dzieciństwa, z opowiadań, z prasy, lub zgoła nie miał o nich pojęcia. Rozmowa przeniosła się na korytarz. Student mówił i przyglądał się młodej

dziewczynie. Nie była piękna, lecz miała w sobie cechy urody typowo ukraińskiej. Czarne oczy i ciemne włosy, wyraźne rysy pełnej twarzy, dobrze zbudowana postać i aksamitny alt w rozmowie dodawały jej powagi; a jednocześnie granatowa plisowana spódnica, biała bluzeczka i czerwona chusta na szyi upodabniały ją do młodziutkiej uczennicy.

Długo trwała wymiana zdań na temat wychowania dzieci w szkole. Gdy Jurek spojrział na zegarek, był już późny wieczór. Należało wracać do domu. Dziewczyna wyszła ze szkoły razem z Jurkiem. Idąc ulicą pod marcowym deszczykiem oboje dyskutowali wciąż na ten sam temat.

Gdy byli na przystanku, chłopiec zdecydował się zapytać o imię poznanej dzisiaj dziewczyny.

– *Jestem Ałła. A pan?*

– *Jerzy albo, jak koledzy mnie nazywają, Jura.*

Zastanowił się chwilę i z niepewnością w głosie zapytał:

– *A czy mogłaby pani dać mi swój adres?*

Po chwili namysłu dziewczyna wyraziła zgodę. Zapisawszy adres student ją pożegnał.

Mijały dni. Jurek codziennie między ósmą i czternastą przebywał w uczelni na wykładach i zajęciach laboratoryjnych. Po południu czytał, uczył się, przygotowywał się do wystąpień na seminariach, do wykonania prac laboratoryjnych. Sam dziwił się sobie, że obraz poznanej niedawno dziewczyny jest wciąż przed oczami, że nie rozplywa się tak, jak poprzednio wiele mu podobnych. W końcu postanowił listownie poprosić o spotkanie.

Teatr Komедii Muzycznej. Tu wystawiane były operetki, tu odbywały się interesujące występy znanych artystów z innych miast Związku Radzieckiego. Tutaj pewnego pochmurnego wieczoru zjawił się Jurek i począł przeglądać repertuarowe ogłoszenia. W kilka minut później weszła do hallu Ałła.



– *Dzień dobry. Świetnie, że pani przyszła. Co porabiają moi znajomi – pionierzy?*

Oboje wyszli na ulicę. Jurek ujął dziewczynę pod rękę. Idąc słuchał ostatnich nowości z życia szkoły, w której pracowała Ałła. Opowiedział jej o pracy w uczelni, o działalności ziomkostwa studentów polskich. Zainteresowawszy się życiem Ałły dowiedział się, że w Kijowie mieszka dopiero kilka miesięcy, że wraz z rodzicami przyjechała tu z Charkowa, że dziesięciolatkę ukończyła dwa lata temu, a obecnie zamierza rozpocząć studia.

Młodzi przeszli Plac Tolstoja, Besarabkę i skręcili w Bulwar Szewczenki. Ruchliwe centrum miasta zostało poza nimi. Już tylko od czasu do czasu przemknął asfaltową jezdnią trolejbus lub pojawiła się przed nimi na bulwarowej ocienionej drzewami alejce para młodych. Szybko upływał czas i niepostrzeżenie droga, którą mieli za sobą, wyrosła już do długości kilku kilometrów.

W pewnej chwili Ałła zainteresowała się:

– *Czy pan pali?*

– *Nie.*

– *I nie pije?*

– *Tylko troszeczkę* – z uśmiechem odpowiedział Jurek.

– *Ee, co to za mężczyzna, który nie pali, nie pije. Mówią, że taki to i całować jak należy nie umie* – chyttrze uśmiechając się stwierdziła Ałła.

Słowa, choć wypowiedziane żartobliwie, niemile dotknęły ambicji Jurka. To, co każda z jego dotychczasowych znajomych wysoko ceniła, nie podobało się tej czarnowłosej dziewczynie. Nie wiedział co odpowiedzieć, bąknął więc tylko:

– *Można lepszego znaleźć.*

– *Z całą pewnością. Chłopców dużo jest na świecie.*

„*Niekulturalna, gruboskórna dziewczyna* – przemknęło przez myśl Jurka. – *Nie warto się z nią spotykać.*”

Gdy doszli do Placu Zwycięstwa, pożegnał ją i, nie naznaczwszy następnego spotkania, poszedł w kierunku przystanku trolejbusowego.

Upłynęło kilka dni. Jurek siedział na łóżku, trzymając w rękach otwartą książkę i dyskutował z dwoma pozostałymi mieszkańcami pokoju, z których każdy miał na imię Mikołaj. Dyskusja dochodziła już do kulminacyjnego punktu, gdy do pokoju ktoś zapukał.

– *Czy tutaj mieszka Jura?*

– *To ja jestem.*

– *Ktoś na dole czeka na pana.*

Jurek, włożywszy na siebie marynarkę, wyszedł na korytarz i zbiegł po schodach na parter. Zdziwiony ujrzał w hallu przy portierni Ałłę w towarzystwie nieznanego mu koleżanki.

– *Proszę na górę, do pokoju.*

– *Nie, nie. Lepiej niech pan szybko włoży płaszcz i odprowadzi nas.*

„*Rzeczywiście, tak będzie lepiej*” – pomyślał i poszedł z powrotem na trzecie piętro. Po kilku minutach z dziewczętami wychodził już z akademika.

Choć wieczór był pochmurny, a w powietrzu unosiła się wilgoć i pogoda nastrojała raczej do smutku niż do radości, młodzi wesoło rozmawiali przeskakując brudnoszare kałuże. Rej wodziła Ałła, której usta prawie się nie zamykały. Gdy idąc wzdłuż Szosy Brzesko-Litewskiej doszli do Placu Zwycięstwa, koleżanka Ałły przypomniała sobie, że już dawno powinna być w domu, więc pożegnała się i wsiadła do tramwaju. Jurek i Ałła szli dalej.

– *Niech pan nie gniewa się na mnie za moje ostatnie zachowanie. Ja już jestem taka głupia, że plotę czasami niestworzone rzeczy.*

Na taki argument Jurek się roześmiał.

„*Jeżeli przyszła dzisiaj specjalnie, aby spotkać się ze mną, to znaczy, że to co powiedziała ostatnio było tylko zwykłym żartem*” – pomyślał. A głośno rzekł:

– *Nie warto pamiętać o takich drobnostkach. Raczej proszę mi powiedzieć, kiedy znowu będę mógł zobaczyć panią.*

Umówiwszy się młodzi podali sobie ręce i każde z nich odjechało trolejbusem w swoją stronę.

Do Kijowa powoli wkraczała wiosna. Dni stawały się coraz dłuższe, były pogodne i ciepłe. Na licznych trawnikach i klombach trwały ostatnie prace przy obsadzaniu ich kwiatami. Duże obszary pokrywała już soczysto zielona świeża trawa. Park Politechniki stał jeszcze szary i smutny, lecz na jego drzewach gdzieś dawały się już dostrzec nabrzmiałe pączki. Brązowoszara powłoka ziemi z zeszłorocznych liści była miejscami pokryta jasną zielenią trawy.

Na ulicach, w parkach coraz częściej spacerowały pary uśmiechniętych młodych ludzi. Ubiór ich w większości przypadków stanowiły jeszcze zimowe płaszcze, a najczęściej spotykanym okryciem głowy u mężczyzn były futrzane uszanki. Młode kobiety jednak lepiej od-

czuwały widocznie powiew wiosny, skoro na nogach ich pojawiły się kapronowe pajęczynki. Budzenie się przyrody wywarło wpływ nawet na konduktorki tramwajów. Ich „*Obywatele, kto jeszcze nie ma biletu*” – brzmiało teraz łagodniej i weselej.

Jurek codziennie przesiadywał w audytoriach uczelni. Na wykładach starał się skupić, by zanotować ich treść możliwie najdokładniej i najpełniej. Spozstrzegwał jednak, że coraz częściej jego myśli ulatują poza audytorium, do Ałły. Ostatnio widywał ją dość często. Stopniowo poznając ją dochodził do wniosku, że to jednak dobra dziewczyna, mimo przejawiającej się u niej niejednokrotnie impulsywności i gruboskórności. Podczas wojny, gdy ojciec jej jako oficer szedł z wojskiem przez Polskę na zachód, a matka ciężko pracowała, wychowywała ją ulica. Po zakończeniu wojny rodzice mogli już poświęcić córce więcej czasu, ale po śmierci brata stała się jedynaczką, a to niewątpliwie wywarło pewien wpływ na ukształtowanie się jej charakteru. Jurek odczuwał, że rozumie Ałłę coraz lepiej i coraz bardziej ona mu się podoba.

Kreszczatik – centralna ulica Kijowa. Szeroką, wielopasmową, gładką jak lustro jezdnią cicho suną trolejbusy i samochody osobowe. Po obydwu jej stronach nagie jaszczke drzewa oddzielają jezdnię od szerokich asfaltowych trotuarów, wypełnionych tłumem przechodniów. Dalej wznoszą się wielopiętrowe gmachy, całkowicie zbudowane już po wojnie, w miejscu zrujnowanych przez hitlerowców domów starego Kreszczatika. Oto olbrzymi, kilkunastopiętrowy wieżowiec mieszkalny wzniesiony na wzgórzu, a obok niego dwa symetrycznie rozłożone gmachy, pokryte jasnymi wzorzystymi płytkami ceramicznymi. Naprzeciw wznosi się brunatnoczerwony centralny dom towarowy. Nieco dalej nowoczesny gmach Rady Miejskiej i długi, wygięty w półkole, wielopiętrowy budynek Ministerstwa Łączności. Nieopodal na Placu Kalinina strzela w górę kilkanaście już pięter budowanego tu hotelu. Gdzieś niedaleko nad gmachami na tle granatowego wieczornego nieba błyszczą kolorowe litery neonów: „Korzystajcie z usług lotnictwa”, „Posługujcie się taksówkami”, „Przechowujcie pieniądze w kasach oszczędnościowych”, „Kupujcie w sklepie Juwelirtorgu”.

Tu, na Kreszczatiku, przy pętli trolejbusowej przechadzał się chłopiec średniego wzrostu, ubrany w szary wiosenny płaszcz. Podchodził do każdego trolejbusu przybywającego z ulicy Czerwonoarmijskiej, zaglądał

przez szyby do wnętrza oświetlonego wozu, przypatrywał się wysiadającym. Co chwila spoglądał na zegarek. Na jego szczupłej twarzy widoczne było skupienie, piwne oczy wyrażały niepokój, a może zniecierpliwienie.

W pewnej chwili rozpromienił się, szybko podszedł do trolejbusu i podał rękę wysiadającej zeń dziewczynie. Roześmiana, w wiosennym zielonkawym płaszczku, wyglądała w wieczornym mroku czarująco. Po chwili oboje skierowali się do Parku Centralnego.

Szli szeroką asfaltową alejką, mijając co chwila takich jak i oni młodych: roześmianych, to znów poważnych, rozprawiających o czymś półgłosem lub milczących. W miarę jak oddalali się od Kreszczatika, spotykali coraz mniej spacerujących ludzi, alejka zwężała się i park upodabniał się do lasu. Na rozwidleniu dróg wybrali ścieżkę, biegnącą szczytami wzgórz w kierunku Mostu Patona.

Kroczyli już kilkadziesiąt minut. Odgłosy miasta pozostały daleko w tyle. Na ścieżce nie spotykali ni jednego człowieka. Byli sami. Rozmawiali coraz ciszej i coraz rzadziej. Początkowe wesołe przekomarzanie się ustąpiło teraz miejsca poważnej rozmowie.

Drzewa rozstały się przed nimi. Stali na wysokim wzgórzu, z którego roztaczał się cudowny widok. Daleko pod nimi czerniał szeroki, leniwie płynący Dniepr. Odgraniczała od niego stroma piaszczysta ściana wzgórza, porośnięta drzewami i krzewami. W oddali na tle czarnej smugi rzeki błyszczał długi szereg światełek – Most Patona. Za wodą rozciągała się jaśniejsza smuga – piaski niskiego brzegu Dniepru, a jeszcze dalej migwały drobniutkie świecące punkciki. Była to Darnica – przedmieście Kijowa. Dalej i wyżej widniało już tylko niebo roziskrzone tysiącami gwiazd.

Młodzi stali oczarowani widokiem roztaczającym się przed nimi. Jurek objął Ałłę wpół. Stała z szeroko otwartymi oczami, pochyliwszy głowę na jego ramię. Chłonęła piękno nocnego krajobrazu, czy może o czymś głęboko rozmyślała? Aby przerwać ciszę Jurek półgłosem powiedział:

– *Gdy stąd patrzę na Dniepr, przypomina mi się Wisła. Jest taka sama szeroka i piękna.*

Ałła nie odrzekła ni słowa, tylko przytuliła się mocniej. Stał obejmując ją coraz silniej, lecz ostrożnie, bojąc się spłoszyć przyjemną chwilę. Skierował wzrok ku dziewczynie. Dojrzał profil jej twarzy: czarne, oświetlone jedynie przez gwiazdziste niebo oczy, mały, równy nos i lekko rozwarłe wargi. Teraz, w ciemności wydała mu się szczególnie piękna. Poczul, że serce za-

czyna mu bić mocniej i szybciej. Gwałtownie odwrócił ją, przycisnął do siebie z całej siły i począł całować jej usta. Wydawało mu się, że ten pierwszy namiętny pocałunek trwał bardzo, bardzo długo. Gdy dziewczynie brakowało już tchu, rozluźnił uścisk. Ciężko dysząc wyrwała mu się i opuściła głowę. Jurek stał oczarowany, wciąż nie mogąc przyjść do siebie.

Po chwili Ałła uniosła głowę, przenikliwie spojrzała mu w oczy i władczym głosem rzekła:

– *Chodźmy.*

Oboje skierowali się najkrótszą drogą do miasta.

Nadszedł maj, a wraz z nim ciepłe i pogodne wieczory. W parku Politechniki Jurek dostrzegał często dziewczęta i chłopców, przechadzających się po alejkach lub siedzących na ławkach. Patrzył na nich z żalem. Rozumiał, że okres sesji zaliczeniowej i egzaminacyjnej wymaga od niego poświęceń. Wiele czasu przeznaczał teraz na naukę, przygotowując się do zaliczeń. Z Ałłą spotykał się dość rzadko.

Wreszcie w parku zakwitły kasztany. Dla studentów miało to zupełnie inną wymowę niż dla poety, wychwalającego biel i piękno kasztanowych kwiatów. Studenci wiedzieli, że kasztany sygnalizowały im początek najtrudniejszego okresu semestru.

Jurek zdawał pięć egzaminów. Przed każdym z nich wszystkie wolne dni poświęcał nauce. Miał już wypróbowany własny system przygotowań. Codziennie po śniadaniu zasiadał na łóżku i opierając się o ścianę rozpoczynał czytanie konspektów i książek. Co godzinę robił krótką przerwę, po południu zaś – godzinną przerwę na obiad, po czym znowu powracał do uczenia się. Tygodnie przygotowań przyniosły dobre rezultaty. W indeksie przybyły nowe oceny – piątki i czwórki.

Wreszcie, znużony i wycieńczony wyczerpującą pracą, Jurek wszystkie egzaminy miał już poza sobą. Okres oddzielający go od początku praktyki zawodowej postanowił wykorzystać na pobyt w swym domu rodzinnym. Pożegnawszy się z Ałłą wyjechał do Polski.

Pociąg Lwów-Kijów przybliżył się do stacji końcowej. Mimo wczesnej godziny porannej wszyscy czterej pasażerowie przedziału byli ubrani, umyści i przygotowani do opuszczenia pociągu, w którym spędzili wiele godzin. Wspólna podróż uczyniła ich dobrymi znajomymi. Każdy z nich wiedział, że oficer Armii Radzieckiej i jego żona jadą z Polski do swych rodziców w

Kijowie, że młoda studentka postanowiła udać się ze Lwowa aż pod Charków, aby wypocząć na wsi w okresie wakacji, a młody Polak, student Politechniki Kijowskiej, wraca do Kijowa na praktykę wakacyjną.

Pociąg stanął przy peronie stacji Kijów. Jurek, pomógłszy studentce przenieść ciężką walizę do miejsca postojowego taksówek, pośpieszył w kierunku przystanku tramwajowego. Upłynęło jeszcze pół godziny i był już w czwartym domu studenckim, opustoszałym po wyjeździe mieszkańców na wakacje.

Zaraz po wejściu do hallu kroki swoje skierował ku półkom z listami. Nie mylił się, oczekiwała go pocztówka od Ałły.

„*Pracuję na obozie pionierskim w Bojarce – donosiła Ałła. – Proszę Cię, przyjeźdź do mnie zaraz po powrocie, najlepiej po południu.*”

Jurek postanowił udać się do podkijowskiej miejscowości letniskowej jeszcze tego samego dnia.

Już po kilku godzinach mknął pociągiem elektrycznym, zbliżając się do miejscowości, znanej z powieści Ostrowskiego „Jak hartowała się stal”. Tutaj właśnie, przed czterdziestoma prawie laty, komsomolcy walczyli o opał dla marznącego Kijowa z dwoma wrogami: uzbrojonymi kontrewolucyjnymi bandami i trzaskającym mrozem. Ich wytężona praca przyczyniła się w jakimś stopniu do tego, że dzisiaj on, polski student, mógł przebywać w radzieckim kraju, poznawać życie jego miast i wsi.

Pociąg przystanął. Jurek skierował się na główną ulicę osiedla. Szeroka piaszczysta droga oddzielona była drewnianymi niskimi płotami od czysto utrzymanych ogródków, z których wyrastały niewysokie parterowe domki, o ścianach pomalowanych wapnem. Przed domami grządki obsadzone były różnobarwnymi kwiatami, na dachach wielu zabudowań widniały na tle błękitu nieba anteny telewizyjne.

Jurek znał już ten widok, tak typowy dla wielu radzieckich miasteczek, osiedli i wsi. Anteny telewizyjne nad strzechami chat i dachami niziutkich domków już nie dziwiły go, lecz wzbudzały w nim podziw i szacunek dla narodu, który wciąż polepszał swoje życie.

Napotkanego na ulicy przechodnia przybyły zapytał o drogę do obozu pionierskiego. Dowiedziawszy się, że szedł w niewłaściwym kierunku, zawrócił. Przeszedł osiedle, pozostawił je za sobą i polną drogą dotarł w końcu do obozu.

U skraju lasu na dużym obszarze ogrodzonym płotem poustawiane były równe rzędy szarych i zielonkawych namiotów. W środku obozu wznosił się estetycznie pomalowany piętrowy budynek, mieszczący stołówkę i świetlicę. W obozie wrzało i huczało. Ubrane w mundurki pionierskie dzieci podlewały kwiaty, posypywały dróżki żółtym piaskiem. Ze świetlicy dobiegały śpiew i głos akordeonu.

Jurek się rozejrzał. W oddali, przy jednej z grup dziecięcych zauważył niewysoką czarnowłosą dziewczynę, która żwawo uwijała się wraz z pionierami, pokazując im coś czy wyjaśniając. Przybyły poznał w niej Ałłę. Gdy podszedł bliżej, dziewczyna odwróciła się i, spostrzegłszy go, z rozpromienioną twarzą pośpieszyła naprzeciw. Choć Jurek, widząc ją po kilku tygodniach rozłąki, miał szczerą chęć wziąć dziewczynę w objęcia, pohamował się. Wyciągnął na powitanie rękę.

– *Dzień dobry, Alu.*

– *Dzień dobry. Bardzo się cieszę, że już powróciłeś z Polski i przyjechałeś do mnie.*

– *Ja również. Teraz już często będziemy widywać się, prawda?*

– *Tak, Jura. Ja niedługo kończę swoją pracę na obozie. Oboje będziemy mieli dużo wolnego czasu. A kiedy zaczynasz praktykę?*

– *Za cztery dni.*

Ałła przenikliwie spojrzała Jurkowi w oczy.

– *A więc przyjechałeś wcześniej tylko z mojego powodu?*

– *Tak, Alu* – odparł z uśmiechem.

Ktoś z oddali zawołał Ałłę po imieniu.

– *Widzisz, jak się złożyło... Przybyłeś aż z zagranicy, a ja nie mam w tej chwili czasu, aby dłużej porozmawiać z tobą. Dzisiaj po zachodzie słońca urządzamy uroczyste ognisko, a przygotowania zabierają sporo czasu. O, tutaj, widzisz, zapłonnie ogromny stos drewna. Chciałabym, abyś to wszystko widział.*

– *Chętnie popatrzę.*

– *A po ognisku ja już będę miała czas do własnej dyspozycji. Wtedy porozmawiamy o wszystkim. Dobrze?*

– *Ale mój ostatni pociąg do Kijowa odjedzie, zanim zakończy się ognisko.*

Ałła spuściła wzrok. Przez chwilę milczała, po czym cicho rzekła:

– *Ja ciebie w ogóle nie puszcze dzisiaj do Kijowa. Będziemy razem. Po ognisku spotkamy się tam, w lesie, na tej drodze* – i ukazała kierunek palcem.

Jurek, siląc się na spokój, przytaknął. Dziewczyna odwróciła się i pobiegła do swojego zastępu, a chłopiec po chwili kroczył ku bramie obozu.

Słońce stało jeszcze wysoko. Swoim blaskiem zalewało pola uprawne, wśród których wiła się droga, żarem swoich promieni suszyło ziemię, powodowało powstawanie tumanu kurzu przy każdym stąpięciu. Było gorąco i duszno. Nie chłodził twarzy nawet najłżejszy wietrzyk, wieczór zapowiadał się pogodny i ciepły.

Jurek postanowił skryć się od palących promieni słońca, okrążył więc obóz i wszedł do lasu. Odnalazł drogę, o której mówiła Ałła: Kroczył wśród sosen, wysokich i prostych jak naciągnięta struna. Ziemia obok drogi była równa, usłana grubą warstwą igliwia. Wydawało się, że ktoś ją pozamiatął, a następnie pokrył brunatnym dywanem. Tam, gdzie sosnowe maszty rozsuwały się szerzej, a na utworzoną w ten sposób polanę mogły już przedrzeć się promienie słońca, ziemię pokrywały krzaki i runo leśne. Nieco dalej znowu królowały wszechwładne sosny.

Na napotkanej po drodze polance Jurek rozłożył wzięty na wszelki wypadek płaszcz. Usiadł i wdychał orzeźwiające powietrze sosnowego lasu.

Odpocząwszy wstał i klucząc leśnymi ścieżkami, począł szukać drogi, która zawiedzie go do osiedla. W końcu wyszedł z lasu. Zauważył, że tarcza słoneczna wisi tuż nad horyzontem.

Znajdował się w nieznannej wsi lub może części osiedla. Tym razem płoty po obu stronach szerokiej piaszczystej drogi były wysokie, miejscami przewyższające wzrost człowieka. Po drodze biegały dzieci, bawiąc się beztrudnie. Pojawiła się para młodych ludzi: ona w białej letniej sukience, on w szarym garniturze. Schludnie ubrani szli zapewne po trudach dnia do klubu. Przy studni obok drogi skrzybiał kołowrót. Kobieta, napełniwszy dwa wiadra wodą, weszła z nimi do najbliższej zagrody. Po chwili do odgłosów życia wsi wdarło się beczenie kóz. Nad drogą powiał nieśmiały jeszcze pierwszy lekki wietrzyk. Przyniósł ze sobą zapach powracającego z pastwiska bydła.

Jurek, wiedziony instynktem turysty, wybrał drogę i skierował się do obozu. Zanim się zbliżył, las stał już w ciemności. Z daleka widoczne były pomarańczowe jęzory ognia, strzelające wysoko ponad obozowisko. Co chwila nad ogniskiem ukazywały się pęki żółtych iskier, po czym ogień z trzaskiem rozrastał się i rozjaśniał.

Chłopiec przystanął na skraju lasu. Od obozu dzielił go jedynie wysoki płot. Kilkadziesiąt kroków dalej

zauważył w ciemności kilku ludzi, przypatrujących się ognisku zza płotu, jak i on. „Widocznie mieszkańcy wsi przyszedli popatrzeć na ognisko pionierskie” – pomyślał.

Wokół ogniska dzieci w czerwonych chustach, wzięwszy się za ręce, utworzyły ogromne koło. Po chwili dobiegł go śpiew i dźwięki harmonii. Koło za-wirowało.

Jurek szukał wzrokiem Ałę. Wśród stojących obok ogniska wychowawców nie mógł jej dostrzec. Dopiero gdy żywe koło wykonało już kilka obrotów, ujrzał na tle ognia jej sylwetkę. Rzeczywiście, trudno było odróżnić tę dziewczynę, ubraną w białą bluzeczkę i czerwoną chustę, od dzieci bawiących się wokół ogniska.

Wśród ludzi stojących za płotem obozu nastąpiło poruszenie. Dobiegły ściszone słowa komendy... i w niebo wleciały jednocześnie cztery różnokolorowe rakietki. Koło przy ognisku rozpadło się. Dzieci z okrzykiem „Hura” rozbiegły się i z podziwem, zadzierając głowy, patrzyły na barwne ogniki płynące po granatowym niebie. Rozległa się druga, trzecia, czwarta salwa i niebo wciąż rozbłyskiwało ogniami.

„A więc to żołnierze przyszedli, by zrobić dzieciom niespodziankę” – poprawił swój poprzedni sąd Jurek.

Jeszcze długo po raketowej iluminacji w obozie wrzało jak w ulu. Zabawa miała teraz bardzo żywiołowy charakter. Jurek przez cały czas stał i wpatrywał się w ognisko, dostrzegając od czasu do czasu sylwetkę Ałę. Gdy ognisko poczęło przygasać i została przy nim tylko garstka dzieci, Jurek wszedł w ciemny las. Widziany przed kilkoma godzinami las, wówczas żywy, barwny i przejrzysty, czynił teraz wrażenie martwego, tajemniczego i nieprzystępnego. Tchnął powagą i dostojnością. Napawał serce samotnego chłopca lękiem.

Jurek odnalazł umówione miejsce, zeszedł z drogi, zaszył się między młode niewysokie sosenki, legł na płaszczu i czekał.

Po dłuższym oczekiwaniu na drodze pojawiła się postać w jasnej bluzce i ciemnej spódnicy. Gdy zrównała się z chłopcem, cicho wymówił jej imię. Podeszła do niego.

– W końcu doczekałem się, Z pewnością jesteś bardzo zmęczona. Widziałem, jak bawiłaś się z dziećmi przy ognisku. Chodź, usiądź tu przy mnie.

Ała usłuchała. Oparła głowę o ramię chłopca. Pierwsza rozpoczęła opowieść o ostatnich kilku tygodniach swojego życia. Jurek dowiedział się o pracy w szkole, w obozie pionierskim, o koleżankach, o rodzi-

cach dziewczyny. Sam nie pozostał dłużny. Dokładnie przedstawił swoje życie w Polsce.

– Wyjeżdżając stąd na odpoczynek myślałem, że, podobnie jak w latach ubiegłych, będę mógł w domu spokojnie i beztrudnie wypoczywać. Tymczasem dni mi się dłużyły, nie miałem spokoju. Codziennie myślałem o tobie. Dopiero w Polsce zdałem sobie sprawę z tego, jak bliską stałaś się mi i jak przyzwyczałem się do ciebie. Czy ty też myślałaś o mnie?

– Bardzo często. Nie mogłam doczekać się dnia, gdy otrzymam od ciebie list. Nawet mamie udzielał się mój niepokój. Gdy tylko ktoś zadzwonił do drzwi, mówiła: „Idź, otwórz, pewno list od Jury”.

Chłopiec uśmiechnął się.

– A ojciec już wie o moim istnieniu?

– Wie i często strofuje mnie za to, że spotykam się z tobą i myślę o tobie. Ostatnio coraz częściej dochodzi między nami do sprzeczek z tego powodu.

– Dlaczego jest tak źle usposobiony do mnie? Przecież mnie nie zna. Czy ma jakieś zarzuty?

– Nie, konkretnie do ciebie niczego nie ma. Ale powtarza mi: „Po co ty chodzisz z tym cudzoziemcem? Czy za mało jest naszych chłopców?”

– Bardzo mu się dziwię. Przecież jest postępowym i mądrym człowiekiem. Nie rozumie tego, że narodowość obecnie z każdym rokiem odgrywa coraz mniejszą rolę?... Ważne, jaki jest człowiek, a nie kim jest.

– Ja to już rozumiem, Jureczku, ale on nie chce zrozumieć. A może po prostu nie chce mnie utracić... Ma tylko mnie jedną. Ale nie mówmy teraz na ten temat. Przed nami jeszcze dużo, dużo czasu. Może coś się zmieni na lepsze.

– Masz rację, Alu.

Jurek obrócił głowę w prawo i przebiegł wzrokiem po całej postaci siedzącej przy nim dziewczyny. W ciemności profil jej twarzy wydał mu się niezwykle regularny. Obejmując ją przesunął palcami po jej ręce i ramieniu. Poczłł chłód ciała.

– Nie zimno ci, Alu?

– Troszeczkę. Zaraz się przyzwyczaję.

– Po co masz się przyzwyczajają? Zaraz ogrzeję ciebie.

Rozpiął marynarkę, mocno otoczył ją ramionami i przycisnął do siebie. Słyszał coraz szybszy oddech dziewczyny, odczuwał falowanie jej kształtnych piersi. Zrobiło mu się gorąco, do serca napłynął słodki niepokój. Spojrzał w twarz dziewczyny. W ciemności czule patrzyły na niego czarne oczy.

– Kochana moja – szepnął.

Odszukał usta i przylgnął do nich własnymi. Całował długo i zapamiętał. Położył jej głowę na płaszczu. Rozkosz pocałunku znowu nim ośwładnęła. Rozpiął bluzeczkę, staniczek. Namiętnie przywarł ustami do jej chłodnej jędrnej piersi. W głowie miał szum, serce biło niby dzwon. Długo nie mógł oderwać się od dziewczyny. Ostatkiem siły woli powstrzymał się: „*Co ja robię... Nie wolno mi więcej...*”

Ciężko dysząc legł na wznak obok Ałły. Widok zimnych srebrzystych gwiazd migocących hen, nad wierzchołkami sosen, otrzeźwił go.

W Sali Czerwonej reprezentacyjnego kina „Kijów” zakończył się seans. Na ulicę przez szeroko otwarte drzwi wydostawał się powoli tłum widzów. Ludzie zmierzali w kierunku jednego z dwóch najbliższych przystanków trolejbusowych, Co minutę odjeżdżał przepelniony trolejbus, a oczekujących na przystanku nie ubywało.

Z kina wyszli Ałła i Jurek. Popatrzyli na przepelnione trolejbusy.

– *Idziemy piechotą?* – odezwała się Ałła.

– *Możemy.*

Długa to była ulica – Czerwonoarmijska. Aby dojść do drugiego jej końca, gdzie mieszkała Ałła, trzeba było mieć zdrowe nogi i kondycję turysty. Na szczęście obu tych atrybutów młodym nie brakowało. Jurek, zapalony turysta, przyzwyczał już Ałłę do długotrwałych wędrówek pieszych po rozległym mieście i jego okolicach. Najprzyjemniejszą częścią składową spacerów były rozmowy. Tematu nie brakowało nigdy. Jurek podziwiał swoją dziewczynę, że równie uważnie słuchała go, gdy mówił o polskiej modzie, jak i o najbardziej zaawansowanych tajnikach techniki. Alle szczególnie podobało się, gdy jej współtowarzysz zaczynał wykład techniczny od słów: „*To takie proste*”. Uśmiechała się wtedy mówiąc: „*Ale tylko dla niektórych z nas*”.

Dzisiaj rozmowa miała poważniejszy charakter. Ałła opowiadała o ostatnich wydarzeniach w domu.

– *Wczoraj znowu miałam nieprzyjemną przeprawę z ojcem. Wszedł do mego pokoju, gdy oglądałam nasze zdjęcia. Gdy zobaczył twoją fotografię, zasępił się i usiadł naprzeciw. „Ty chcesz odjechać od nas za granicę?” – zapytał – „Nie żał ci będzie starych rodziców?” Odpowiedziałam mu, że niczego jeszcze nie postanowiłam i że nie wiem, jak się złożą nasze losy. A on na to: „To po co spotykasz się z tym cudzoziemcem? Rzuć go. Chłopców możesz mieć wielu, a rodziców tylko jednych i tylko jedną ojczyznę. Ty*

wiesz przecież, jakie dziewczęta czepiają się cudzoziemców. Chcesz być jedną z nich?” Ja wtedy powiedziałam, że jesteś dla mnie bardzo dobry i że ja kocham ciebie. Ojciec zezłościł się, zaczął krzyczeć. Nie mogłam wytrzymać, więc poszłam do mamy.

– *A mama co?*

– *Plakała. Ona mnie rozumie. Być może przypomina sobie własną młodość. Poza tym zna przecież ciebie i ty się jej podobasz. Ale mamie też ciężko. Nie wie, jak ma postąpić, dlatego płacze. A co ja mam zrobić, Jureczku? Nie chciałabym sprawiać rodzicom bólu, zmuszać ich do przeżywania i udręczania się. Co mi radzisz czynić?*

– *To, co ci serce każe.*

– *Dobrze ci tak mówić. Serce mi każe być z tobą, a rozum podpowiada coś zupełnie innego.*

– *A ty myślisz, że mojemu sercu nie sprzeciwia się rozum?... – uniósł się Jurek. – Ale ja kocham ciebie i w tej chwili już nie mogę wyobrazić sobie życia bez ciebie. Choć z drugiej strony widzę, jak mało prawdopodobna jest nasza wspólna przyszłość – dodał spokojnie.*

Ałła opuściła wzrok i szła obok niego nie mówiąc ni słowa.

Skończył się dla Jurka okres praktyki produkcyjnej w fabryce. Wraz z kilkoma kolegami udał się pociągiem aż za Ural. Niewielka, sześćosobowa grupa studentów zamierzała dokonać trudnego wyczynu turystycznego: przejść z Azji do Europy przez tajgę i pasmo Uralu Północnego. Zamierzenie stało się rzeczywistością. Przebycie kilkusetkilometrowej trasy, łączącej osiedle Połunocznoje w obwodzie swierdłowskim i miasto Solikamsk, zajęło miesiąc czasu. Najtrudniejsza była pierwsza faza wędrówki: przez bezdroża tajgi, przez pasmo gór, na bezludziu, gdy turyści zdani byli wyłącznie na własną zaradność i na własne siły. Później, po dojściu do pierwszej osady ludzkiej, wędrówka stała się lżejsza. Środkiem transportowym była teraz już łódka. Korzystając z niej wędrowcy przybyli do Solikamska, a stąd do Kijowa pozostało tylko trzy doby jazdy pociągiem. I oto Jurek był w mieście swych studiów.

Było pogodne wrześniowe popołudnie 1958 roku. Słońce zalewało miasto swym ciepłem, dodawało jasności barw kwiatom na klombach, przyciemniało i tak już smagłą cerę studentek. A studenckiej braci było już wiele. Przed kilkoma dniami wypełniła ona gwarem gmachy Politechniki. Na ulicach Kijowa spacero-

wały grupy młodzieży dyskutując, wspominając wydarzenia z wakacji.

W najruchliwszych punktach miasta, gdzie królowały do tej pory wózki z wodą sodową i beczki z kwasem chlebowym, pojawiły się konkurencyjne stoiska z arbusami. Widok przechodnia, niosącego w siatce olbrzymią ciemnozieloną głowę arbuza, stał się obrazkiem typowym dla miasta.

Natychmiast po przybyciu Jurek zatelefonował do mieszkania Ałły i wyznaczył spotkanie. Nie zdążywszy nawet odpocząć po długotrwałej podróży pomknął trolejbusem w kierunku Placu Tołstoja. Stęsknił się, chciał więc widzieć swoją wybrankę jak najprędzej.

Ałła już czekała. Powitała go podając rękę. Jurek czuł, że przeszkodę dla bardziej czułego powitania stanowili jedynie przechodnie.

– *Jureczku, jak mogłeś tak długo przebywać wśród dzikich zwierząt, zamiast być ze mną – odezwała się żartem. – Nawet nie wiesz, jak bałam się, że już nie wrócisz. Szczególnie po otrzymaniu ostatniego twojego listu, w którym pisałeś, że wchodzicie do tajgi. A od dnia, gdy otrzymałam ten list minęło już trzy tygodnie.*

– *Później już żaden list nie dotarł do ciebie? Ten pisany w namiocie pod szczytami Uralu również?*

– *Nie.*

– *Racja. Przecież list nie mógł być szybszy niż ja. Tam, gdzie posłałem ten list, poczta posługiwała się tylko motorową łódką. Wiesz, dopiero teraz mam pojęcie o ogromie Związku Radzieckiego, różnorodności jego mieszkańców i przyrody. Po drodze w pociągu rozmawiałem z Białorusinami, Tatarami, nawet jednym Czuczwaszem. Widziałem dziką przyrodę tajgi. Wyobraź sobie, że jeszcze tydzień temu brodziłem po śniegu, odziany we wszystkie swoje swetry i było mi zimno. A dziś mogę spacerować w letnim ubraniu. Ogromne obszary zajmuje twój kraj, Alu.*

– *Tak, Jura. I ludzie w nim są tacy, jakich gdzieś indziej nie spotkasz.*

Jurek zastanowił się chwilę: „Czy ona teraz nie przesadza?”

Wspomniał nauczyciela z Połunocznego, który bezpłatnie udzielił schronienia i wyżywienia szóstce studentów żądnych przygód, zaopiekował się nimi. Wspomniał spotkanego w tajdze jeźdźca na koniu, który zboczył z własnej drogi, aby pomóc turystom w



niesieniu plecaków i odnajdywaniu trasy wędrówki. Wspomnił pasterzy renów – Mansi, którzy w dowód przyjaźni ofiarowali dziewczętom *niarki* – buciki ze skóry renifera. Przypomnił sobie wreszcie ten dzień, gdy po 18 dniach pobytu w tajdze turyści po raz pierwszy znaleźli się w rosyjskiej chacie u starego Pantalejmona Kornilowicza i tu otrzymali nie tylko nocleg, lecz i gościnę. Tak, ma rację Ała. Takich ludzi trudno gdzie indziej spotkać. „*I od takich ludzi trudno odjechać*” – uzupełnił swoje rozważania.

Ta ostatnia myśl niemile go ukłuła. Aby ją zapomnieć, Jurek rozpoczął swoją opowieść o trudnych dniach wędrówki przez bezdroża tajgi. Dziewczyna zamieniła się w słuch. Nie przerywała, nie pytała. Chłonęła każde słowo.

Gdy skończył zapytała:

– *Powiedz mi prawdę, Jureczku – często myślałeś o mnie?*

– *Codziennie. I bardzo mi Ciebie brakowało.*

– *Mnie też. Teraz już zawsze będziemy razem. Wiesz, ja wszystko dokładnie przemyślałam i postanowiłam jak najszybciej zdobyć zawód. Zapisalam się na kursy przygotowawcze do pracy w fabryce włókienniczej.*

Jurek spojrzął jej w oczy.

– *Z mojego powodu to zrobiłaś?*

– *Tak, Jureczku.*

Do tej pory wiedział, że łączące ich uczucia są wzajemne, lecz jednocześnie zdawał sobie sprawę z tego, iż miłość napotkała zbyt wiele trudności i oporów, aby mogła się stać trwałą. Nie wierzył w to, by Ała była gotowa dla niego odjechać z kraju, do którego żywiła szczere uczucia, pozostawić rodziców, których kochała. Dlatego ze strachem myślał o chwili, gdy trzeba będzie rozstać się na zawsze. A był już przecież studentem piątego roku. Słowa, jakie usłyszał od ukochanej, powiedziały mu o miłości więcej niż gorące wyznania. Wynikało z nich, że zastanawiała się nad koniecznością opuszczenia niebawem rodzicielskiego domu, co wymagałoby uzupełnienia stypendium Jurka. Mimo że było ono wysokie, nie dawało jednak możliwości zapewnienia życia dwojgu osobom. Biorąc pod uwagę nastawienie ojca, na pomoc ze strony rodziców nie można było liczyć. Ała wiedziała, że chłopiec winien powrócić po studiach do kraju, który go wysłał, godziła się więc z myślą o wyjeździe za granicę.

Gdy Jurek uświadomił sobie, jak wielkiego poświęcenia wymagało podjęcie decyzji, ilu trudnych myśli i rozmów z rodzicami, przyciągnął ją ramieniem do sie-

bie i, nie zważając na widniejące w wieczornym mroku postacie przechodniów, mocno ucałował. Na sercu zrobiło mu się wesoło i przyjemnie. Szedł, objawszy dziewczynę w tali i z uśmiechem spoglądał co chwila w jej oczy.

Ulica Czerwonoarmijska była placem wielkiej budowy. Wzdłuż, co kilkaset metrów, stały wysokie gmachy z czarnymi otworami okiennymi, a obok dawały się dostrzec niziutkie, zapadające się parterowe domki, z dachami przyodzianymi w anteny telewizyjne. Zwykły to był widok, poprzedzający całkowitą zabudowę ulicy radzieckiego miasta, śmieszny, a jednocześnie jakże wyrazisty i wymowny.

Przechodząc w pobliżu jednego z domków Jurek spostrzegł, że okna jego są już ciemne. Zaglądnął przez uchyloną bramę w podwórze. Stała tam ogromna i ciężka spycharka, jak gdyby przygotowana do jutrzejszej wytężonej pracy. Nieco dalej w oknach nowo wzniesionego bloku mieszkalnego, który jeszcze niedawno był pusty, paliło się jasne światło.

– *Popatrz* – Jurek ukazał głową kierunek.

Oboje młodzi przystanęli i patrzyli chwilę w jarzące się światła. W jednym z okien na tle firanki zjawiły się cienie dwojga ludzi: kobiety i mężczyzny. Po chwili cienie znikły i okno jarzyło się jak przedtem, równomiernie i jasno.

– *I my tak kiedyś będziemy?...* – szepnęła Ała.

– *Będziemy, Alu.*

Jurek objął ją jeszcze mocniej.

Tak przedstawia się wycinek losów dwojga młodych: polskiego studenta i ukraińskiej dziewczyny. Wycinek, bo z burzliwego życia młodych wybrano jedynie niewielką cząsteczkę, jakże ważną jednak dla nich samych.

Jak się złożyły dalsze losy chłopca i dziewczyny? Czy Ała i Jurek mieszkają obecnie w Polsce? Pozostawmy to pytanie bez odpowiedzi.

Najważniejsze, że młodzi zrozumieli, że różnice narodowościowe stają się powoli anachronizmem; nie powinny być pierwszorzędnym czynnikiem kształtującym losy jednostek, nie mają prawa rozbijać wtedy, gdy miłość łączy.

Młodzi zrozumieli. Ale czy rozumieją to inni ludzie, od których zależało lub zależy szczęście wielu kochających się par?

Zachowano pisownię oryginału

100. ROCZNICA NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI

TWÓRCY NIEPODLEGŁEJ (CZ. II)

Józef Piłsudski, Roman Dmowski, Ignacy Jan Paderewski, Wincenty Witos, Ignacy Daszyński, Wojciech Korfańty – to wielcy Polacy, którzy współtworzyli odrodzoną po 123 latach niewoli Polskę. Reprezentowane przez nich obozy polityczne obierały różne drogi odzyskania wolności i w sposób odmienny sobie ową niepodległość wyobrażały, jednak mimo wszelkich różnic ideowych, stawiały sobie za cel pierwszoplanowy Polskę niepodległą. Ich rola w odzyskaniu i odbudowywaniu polskiej państwowości jest nieoceniona. Należy jednak mieć świadomość, że pojawienie się Polski na mapach Europy po blisko 123 latach nieobecności zawdzięczamy szerokim masom naszych Rodaków. Wszystkim tym, którzy przelewali krew w powstaniach i bitwach I wojny światowej i późniejszych walkach o ostateczne ukształtowanie granic. Tym wszystkim, którzy swoją codzienną pracą u podstaw stworzyli podwaliny gospodarki odrodzonego państwa. Ludziom nauki, kultury i sztuki, którzy przez ponad 120 lat nie tylko nie zapomnieli o Polsce, ale wręcz przeciwnie, krzewili narodową kulturę i nie pozwolili polskości przeminąć w pomroce dziejów. Kiedy w 1905 roku Henryk Sienkiewicz odbierał nagrodę Nobla za całokształt twórczości, do zgromadzonych w sali słuchaczy tak powiedział o swojej Ojczyźnie: *„Głoszono ją umarłą – a oto jeden z tysięcznych dowodów, że ona żyje, głoszono ją podbitą, a oto nowy dowód, że do podbojów jest zdolna”*. Niech słowa naszego wybitnego pisarza będą inspiracją także dla dzisiejszego pokolenia Polaków. Niech Polska żyje, a jej obywatele każdego dnia dowodzą światu, że nie ma dla nich rzeczy niemożliwych i nie ma takiej siły, która złamałaby ich ducha. Dokładnie tak, jak 100 lat temu dowiedli tego nasi pradiadkowie.

ROMAN DMOWSKI

„Mąż stanu, który po wojnie światowej wprowadził swój naród między zwycięzców, wywalczył dlań Pomorze, Wielkopolskę i Śląsk, wygrał spór o Lwów, rozstrzygnął na rzecz Polski sprawę wileńską, wyzwolił miliony, milionom dał miliardy [...]”

Władysław Konopczyński

Polski polityk, publicysta i działacz niepodległościowy, współzałożyciel Narodowej Demokracji (endecji), czołowy ideolog polskiego nacjonalizmu. Był ministrem spraw zagranicznych, posłem na Sejm Ustawodawczy RP oraz II i III Dumy. W okresie walki o niepodległość był zwolennikiem zjednoczenia wszystkich ziem polskich i uzyskania autonomii w ramach imperium rosyjskiego, a później odzyskania niepodległości w oparciu o sojusz z Rosją i Ententą, w opozycji do państw centralnych. Delegat Polski na konferencję paryską w 1919 r. i sygnatariusz traktatu pokojowego w Wersalu. Zagorzały przeciwnik Piłsudskiego i jego planów rozszerzenia granic II RP zbyt daleko na wschód od linii Curzona, poprzez stworzenie państwa federacyjnego, czyli Polski wielowyznaniowej i wielonarodowościowej. Był zwolennikiem państwa narodo-

wego i zakładał polonizację ludności niepolskiej za tą linią.

Urodził się w 1864 roku we wsi Kamionek pod Warszawą (obecnie Praga-Południe), w ubogiej rodzinie drobnoszlacheckiej, która pieczętowała się herbem „Pobóg”.

Jego ojciec Walenty (1814–1884) był robotnikiem brukarskim na Pradze, następnie właścicielem niewielkiej firmy brukarskiej oraz dzierżawcą jezior Skaryszewskiego i Goćławskiego.

Matka, Józefa z Lenarskich pochodziła z drobnej szlachty mazowieckiej, zmarła w marcu 1914 w Warszawie w wieku 81 lat).

Roman miał dwóch braci Juliana i Wacława oraz dwie siostry Marię i Jadwigę, oprócz tego dwoje jego rodzeństwa zmarło w okresie niemowlęctwa, a ich imiona pozostają nieznane. W pierwszych latach życia często chorował. W 1875 roku rozpoczął naukę w III Gimnazjum w Warszawie, w wieku 17 lat (1881) założył tajną organizację uczniowską pod nazwą „Strażnica”, której głównym zadaniem był opór przed rusyfikacją, wyrażony w tajnych wykładach z języka polskiego, historii, geografii i literatury polskiej. We wrześniu 1886 roku Dmowski wstąpił na wydział fizyczno-matematyczny Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego (na sekcję nauk przyrodniczych). Po czte-



rech latach nauki ukończył studia, a po złożeniu rozprawy pt. „Przyczynek do morfologii wymoczków włoskowatych” otrzymał „uczony stopień kandydata nauk przyrodniczych”.

W 1888 roku został członkiem warszawskiego koła organizacji młodzieży patriotycznej „Zet”, a potem „starszym” Koła Braterskiego „Zet-u”. W grudniu 1889 roku został przyjęty do Ligi Polskiej, skupiającej działaczy zarówno na ziemiach polskich, jak i na emigracji. Od listopada 1891 do sierpnia 1892 roku studiował w Paryżu. W kwietniu 1893 roku dokonał wraz z kilkoma innymi działaczami przewrotu w Lidze Polskiej i stworzył Ligę Narodową, na czele której stanął. W sierpniu tegoż roku, za współorganizowanie manifestacji narodowej w setną rocznicę Konstytucji 3 Maja, Dmowski po 4 miesiącach aresztu w Cytadeli został zesłany poza obszar Kongresówki, do Mitawy. W lutym 1895 roku uciekł stamtąd i osiadł we Lwowie, gdzie objął redakcję dwutygodnika „Przegląd Wszepolski” oraz współtworzył Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne. W 1896 roku na Zjeździe Rady Głównej Ligi Narodowej w Budapeszcie wszedł w skład Rady Głównej Ligi Narodowej.

W okresie rewolucyjnym 1904–1906 wystąpił przeciw antyrosyjskiej akcji rewolucyjnej polskich socjalistów. W grudniu 1905 roku objął redakcję „Gazety Polskiej”. W lutym 1907 roku został wybrany posłem do rosyjskiej II Dumy, w której został przewodniczącym koła polskiego i napisał książkę „Niemcy, Rosja i kwestia polska”, w której przedstawił położenie polityczne Polski i jej zaborców.

W dniach 15-19 września 1912 roku Dmowski wziął udział w tajnym zjeździe w majątku Pieniaki pod Lwowem. Uchwalono wtedy, że w nadchodzącej wojnie Polacy ze wszystkich trzech zaborów poprą stronę przeciwną Niemcom.

W 1913 roku wykladał na zjazdach Rady Głównej Ligi Narodowej w Berlinie, rok później w Wiedniu. Do Warszawy wrócił w czerwcu 1913 roku.

Ostatnie półrocze przed wybuchem wojny poświęcił w całości wielkiej aktywności politycznej, której celem było przygotowanie ruchu narodowego na rychły konflikt zaborców.

Od wybuchu I wojny światowej konsekwentnie działał na rzecz klęski Niemiec. Po zajęciu Warszawy przez Niemców wyjechał do Petersburga, gdzie brał udział w pracach komisji polsko-rosyjskiej, mającej ustalić zasady przyszłej autonomii Królestwa. W 1915 roku udał się przez Finlandię i Szwecję na Zachód i

rozpoczął akcję na rzecz Polski w stolicach zachodnich państw Ententy. 11 sierpnia 1916 roku za cykl wykładów, otrzymał doktorat honoris causa na Uniwersytecie w Cambridge.

W 1917 roku został prezesem utworzonego przez siebie w Lozannie Polskiego Komitetu Narodowego uznanego przez państwa zachodnie za oficjalne przedstawicielstwo narodu polskiego. We Francji z jego inicjatywy została zorganizowana 100-tysięczna Błękitna Armia, która po przetransportowaniu wraz z pełnym wyposażeniem do Polski, stała się podstawą odradzającego się Wojska Polskiego w trudnym okresie walk o granice.

Na początku 1919 roku Roman Dmowski został delegatem pełnomocnym Polski na konferencję pokojową w Paryżu.

Dmowski był zwolennikiem inkorporacyjnej koncepcji wschodniej granicy Polski, pozostającej w opozycji do federacyjnych planów Piłsudskiego. Ostatecznie wizja postulowanych przez Dmowskiego granic w sporej części pokrywała się z granicami II RP.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1919 roku został wybrany posłem na Sejm Ustawodawczy z ramienia Związku Ludowo-Narodowego.

Od 27 października do 14 grudnia 1923 roku był ministrem spraw zagranicznych w gabinecie Wincetego Witosa. Było to jedyne stanowisko rządowe w jego karierze politycznej.

W odpowiedzi na „Przewrót majowy” postanowił zintensyfikować działania na rzecz zjednoczenia ruchów narodowych i katolickich. W grudniu 1926 roku założył Obóz Wielkiej Polski, w którym został prezesem Wielkiej Rady OWP, a następnie w 1928 roku Stronnictwo Narodowe.

Po zdelegalizowaniu przez rząd sanacyjny OWP wzmógł swoją aktywność. Odgrywał decydującą rolę w przemianach organizacyjno-personalnych SN w latach 1934–1935.

Po udarze mózgu, który przeszedł w 1937 roku, zamieszkał u swoich przyjaciół w majątku dworskim Mieczysława Niklewicza we wsi Drozdowo. Tam od 28 grudnia 1938 roku przechodził zapalenie płuc, zmarł o godz. 1:05 w nocy z 1 na 2 stycznia 1939 roku w Drozdowie. Po przewiezieniu ciała do Warszawy 5 stycznia 1939 roku uroczystości kontynuowano w archikatedrze warszawskiej, gdzie przez 14 godzin wystawienia trumny z ciałem hołd zmarłemu oddało ok. 150 tys. osób. W tej świątyni 7 stycznia została odprawiona Msza św. pogrzebowa, po czym Roman Dmowski zos-

tał pochowany w grobie rodzinnym na cmentarzu Bródnowskim w Warszawie. Podczas jego pogrzebu, według źródeł sanacyjnych (nieprzychylnych Dmowskiemu), wzięło udział 100 tysięcy osób. Zdaniem organizatorów, w pogrzebie mogło wziąć udział nawet 200 tysięcy osób. Na uroczystościach pogrzebowych pojawił się m.in. były prezydent Stanisław Wojciechowski, zabrakło natomiast przedstawicieli władz sanacyjnych.

Dmowski był publicystą politycznym i twórcą podstaw ideologii narodowej w Polsce. Cieszył się dużym autorytetem wśród znacznej części społeczeństwa. W swoich publikacjach przedstawiał własną wizję patriotyzmu opartego na narodowych interesach i realizmie politycznym. Uważał, że Polacy, tak jak inne narody, mają do odegrania własną misję cywilizacyjną. Piętnował wady polskie takie jak bierność, lenistwo, niezdolność do pracy zbiorowej czy niezdiscyplinowanie.

Dmowski nigdy się nie ożenił. W opinii większości biografów jednym z powodów była nieodwzajemniona miłość do Marii Juszkiewiczowej, późniejszej żony... Piłsudskiego. Rywalizacja na tym tle mogła być jedną z przyczyn późniejszych antagonizmów między politykami.

Z przekonań religijnych Dmowski był deistą i przez całe życie pozostawał obojętny religijnie, jednak na krótko przed śmiercią nawrócił się i postanowił powrócić na łono Kościoła katolickiego.

Roman Dmowski generalnie i konsekwentnie odmawiał przyjmowania odznaczeń i wyróżnień, tym niemniej był posiadaczem kilku orderów, odznaczeń i tytułów honorowych.

Wszystkie jego utwory objęte były w 1951 roku zapisem cenzury w Polsce, podlegały natychmiastowemu wycofaniu z bibliotek. Po upadku komunizmu w Polsce nastąpiło powolne dostrzeganie zasług Dmowskiego dla sprawy polskiej.

Za zasługi na rzecz niepodległości oraz za przyczynienie się do rozwoju polskiej świadomości narodowej, Roman Dmowski został 8 stycznia 1999 roku, w 60. rocznicę śmierci, uczczony przez Sejm RP jako mąż stanu specjalną uchwałą.

25 lipca 2014 roku Sejm RP ponownie uczcił Dmowskiego uchwałą, która związana była z 150. rocznicą urodzin i 75. rocznicą śmierci Romana Dmowskiego.

Wykorzystano materiały z Internetu

Roman Dmowski. Cytaty

Jestem Polakiem – to słowo w głębszym rozumieniu wiele znaczy. Jestem nim nie dlatego tylko, że mówię po polsku, że inni mówiący tym samym językiem są mi duchowo bliżsi i bardziej dla mnie zrozumiali, że pewne moje osobiste sprawy łączą mnie bliżej z nimi, niż z obcymi, ale także dlatego, że obok sfery życia osobistego, indywidualnego znam zbiorowe życie narodu, którego jestem częścią, że obok swoich spraw i interesów osobistych znam sprawy narodowe, interesy Polski, jako całości, interesy najwyższe, dla których należy poświęcić to, czego dla osobistych spraw poświęcić nie wolno.



Jestem Polakiem – więc mam obowiązki polskie: są one tym większe i tym silniej się do nich poczuwam, im wyższy przedstawiam typ człowieka.



Jestem Polakiem – więc całą rozległą stroną swego ducha żyję życiem Polski, Jej uczuciami i myślami, Jej potrzebami, dążeniami i aspiracjami. Im więcej nim jestem tym mniej z Jej życia jest mi obce i tym silniej chcę, żeby to, co w mym przekonaniu uważam za najwyższy wyraz życia stało się własnością całego narodu.



Prawdziwy patriotyzm nie może mieć na względzie interesów jednej klasy, ale dobro całego narodu.



Wszystko co polskie jest moje: niczego się wyzrec nie mogę. Wolno mi być dumnym z tego, co w Polsce jest wielkie, ale muszę przyjąć i upokorzenie, które spada na naród za to co jest w nim marne.



Jesteśmy różni, pochodzimy z różnych stron Polski, mamy różne zainteresowania, ale łączy nas jeden cel. Cel ten to Ojczyzna, dla której chcemy żyć i pracować.

TOBIE, OJCZYZNO, ŚPIEWAM...

Były odzwierciedleniem narodowych tragedii, niepokojów, tęsknot i najskrytszych marzeń Polaków. Wyrażały ich smutki i radości. Prowadziły, wskazywały drogę, podnosiły na duchu. Niosły NADZIEJĘ. Polskie pieśni patriotyczne. Oto jedna z nich.



MY, PIERWSZA BRYGADA

Jest to najslynniejsza pieśń Legionów Polskich utworzonych przez Józefa Piłsudskiego i najslynniejsza pieśń żołnierska z okresu I wojny światowej. Po wojnie stała się nieoficjalnym hymnem Wojska Polskiego, a także była jedną z kandydatek do miana hymnu państwowego.

Słowa „*Pierwszej Brygady*”, do melodii „*Marsza Kieleckiego*”, powstawały żywiołowo, układane na kwaterach i w okopach. Po 1925 r. zostało ustalone, że pierwsza podstawowa wersja tekstu powstała latem 1917 r. w pociągu wiozącym internowanych legionistów do Szczypiorna i w samym obozie. Ostatecznie, w końcu lat trzydziestych, w Wojskowym Instytucie Historycznym orzeczono, że autorem trzech pierwszych zwrotek jest literat, pułkownik Andrzej Hałaciński, a sześciu zwrotek – oficer legionów Tadeusz Biernacki.

Po raz pierwszy cała pieśń, tekst i melodię, opublikowano w Warszawie w 1920 roku nakładem B. Rudzkiego – pod tytułem „*My, Pierwsza Brygada*”.

10 sierpnia 1924 roku, na Zjeździe Legionowym w Lublinie, Marszałek Józef Piłsudski powiedział: „*Dziękuję panom za najdumniejszą pieśń, jaką kiedykolwiek Polska stworzyła*”. Po tym zjeździe, w sierpniu 1924 Biernacki dopisał zwrotkę „*Dzisiaj już my jednością silni*”, a Hałaciński w październiku 1925 ostatnią zwrotkę „*Potrafim dziś dla potomności*”.

Od początku lat 20. XX w. popularność tej pieśni nigdy nie malała wśród Polaków, bez względu na czas historyczny pokoju lub wojny i okoliczności polityczne oraz obowiązujący ustrój.

Marszowo
mp

Le-gio-ny to żoł-nier-ska nu-ta, le-gio-ny
to stra-ceń-ców los... Le-gio-ny to żoł-nier-ska
bu-ta, le-gio-ny to o-fiar-ny stos...
My pierwsza bry-ga-da strze-lec-ka gro-ma-da. Na
stos rzu-ci-liś-my nasz życia los, na stos, na stos...

My, Pierwsza Brygada

Legiony to – żołnierska nuta,
Legiony to – ofiarny stos,
Legiony to – żołnierska buta,
Legiony to – straceńców los.

Ref. My, Pierwsza Brygada,
Strzelecka gromada,
Na stos rzuciliśmy swój życia los,
Na stos, na stos.

O, ile mąk, ile cierpienia,
O, ile krwi, wylanych łez.
Pomimo to – nie ma zwątpienia,
Dodawał sił – wędrówki kres. *Ref.*

Krzyczeli, żeśmy stumanieni,
Nie wierząc nam, że chcieć – to móc.
Leliśmy krew osamotnieni,
A z nami był nasz drogi wódz! *Ref.*

Inaczej się dziś zapatrują
I trafić chcą do naszych dusz,
I mówią, że nas już szanują,
Lecz właśnie czas odwetu już! *Ref.*

Nie chcemy dziś od was uznania,
Ni waszych mów, ni waszych łez.
Skończyły się dni kołatania
Do waszych serc, do waszych kies. *Ref.*

Dziś nadszedł czas pokwitowania
Za mękę serc i katusz dni.
Nie chcecie więc politowania,
Zasadą jest: za krew chciej krwi. *Ref.*

Umieliśmy w ogień zapalu
Młodzieńczych wiar rozniecić skry,
Nieść życie swe dla ideału
I swoją krew i marzeń sny. *Ref.*

Potrafim dziś dla potomności
Ostatki swych poświęcić dni,
Wśród fałszów siać siew szlachetności
Miazgą swych ciał, żarem swej krwi. *Ref.*



**Andrzej Tadeusz
HAŁACIŃSKI**
ps. „Rogoziński”

Polski urzędnik, dyplomata, poeta, starosta, notariusz, starosta w Brzesku i Okocimiu, legionista, podpułkownik piechoty Wojska Polskiego, kawaler Orderu *Virtuti Militari*.

Urodził się 10 listopada 1891 r. w Skawinie.

Był synem Eustachego Hałacińskiego (introligatora) i Feliksy z domu Rogozińskiej.

Ukończył Gimnazjum św. Anny w Krakowie, a następnie w 1913 r. tamtejszą Akademię Handlową.

Od 1908 r. do 1910 r. był członkiem Związku Walki Czynnej, od 1911 r. do 1914 r. Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, a od 1912 r. Związku Strzeleckiego (II Polska Drużyna Strzelecka). Po studiach, od 1913 r. do 1914 r. odbył roczną służbę wojskową w szkole ochotników przy 16 pułku piechoty c.k. Landwehry armii austro-węgierskiej.

Po wybuchu I wojny światowej został powołany do armii austro-węgierskiej, do której jednak nie zgłosił się i na początku sierpnia 1914 r. wstąpił w szeregi Legionów Polskich. Został przydzielony do 12 kompanii strzeleckiej w oddziale Józefa Piłsudskiego na stanowisku dowódcy plutonu.

Po kryzysie przysięgowym z lipca 1917 r. i rozwiązaniu Legionów, 1 września został wcielony do armii austro-węgierskiej i trafił do Tyrolu, gdzie został przydzielony do 1 pułku strzelców tyrolskich. W tym właśnie czasie ułożył pierwotny tekst pieśni pt. „*My, Pierwsza Brygada*”. Podczas działalności wojennej używał pseudonimu „Rogoziński”.

Na początku istnienia niepodległej II Rzeczypospolitej w listopadzie 1918 r. Edward Śmigły-Rydz awansował go do stopnia porucznika, a w 1920 r. – kapitana.

Następnie uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej. 15 lipca 1920 r. został zatwierdzony w stopniu majora piechoty, w grupie oficerów byłych Legionów Polskich.

Andrzej Hałaciński w 1919 r. zawarł związek małżeński z Zofią Stefanią Świerczewską, z którą miał troje dzieci: córkę Wandę (zmarła w dzieciństwie na szkarlatynę) i dwóch synów: Przemysława (ur. 1922 r.) i Bogumiła (ur. 1934 r.).

Od 1 lutego 1921 r. był kierownikiem konsulatu RP w Berlinie. 31 października został zdembobilizowany.



Andrzej Hałaciński

Uprawiał działalność literacką, pisząc wiersze okolicznościowe o wydźwięku patriotycznym, nowele i wspomnienia wojenne. Publikował w czasopismach „Reduta” (1924–1926), „Na straży” (1926–1929), „Kurier Wileński” i otrzymywał wyróżnienia w tej dziedzinie.

Wobec zagrożenia konfliktem zbrojnym 31 sierpnia 1939 r. został zmobilizowany, a po wybuchu II



Andrzej Hałaciński w mundurze wraz z żoną
Zofią ze Świerczewskich Hałacińską



Żołnierze I Brygada Legionów Polskich

wojny światowej w czasie kampanii wrześniowej mianowany komendantem Kowla. Po agresji ZSRR na Polskę z 17 września 1939 r. został aresztowany przez Sowieców. Był przetrzymywany w obozie w Kozielsku. W zachowanych i odnalezionych pamiątkach inni jeńcy wspomnieli obecność i działalność Andrzeja Hałacińskiego w obozie: organizował wieczory poetyckie i deklamował współsadzonym oficerom wiersze, zorganizował wśród jeńców grupę dyskusyjną, co było zabronione.

9 kwietnia 1940 r. został przetransportowany do Katynia i 10 kwietnia rozstrzelany przez funkcjonariuszy NKWD. Jest pochowany na terenie obecnego Polskiego Cmentarza Wojennego w Katyniu.

Kilka dni po zamordowaniu męża w Katyniu, Zofia Hałacińska i syn Bogumił 14 kwietnia 1940 r. zostali deportowani ze Stanisławowa w głąb ZSRR (starszy syn uciekł w czasie najścia NKWD). Na zesłaniu w

kazachskim Kustanaju w 1942 r. zmarła Zofia, a syn wrócił do Polski w 1945 r. i spotkał się wówczas ze starszym bratem Przemysławem, który przeżył okupację w Krakowie.

Tadeusz BIERNACKI

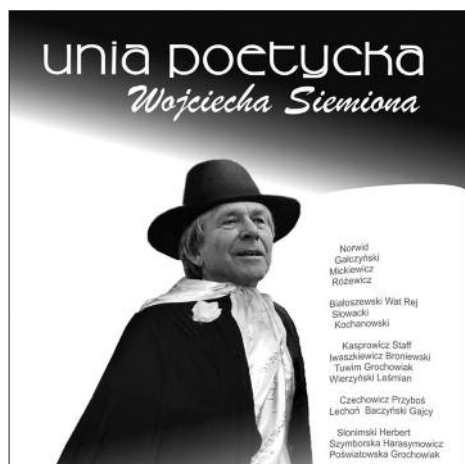
Inżynier chemik i metaloznawca, autor wierszy, podpułkownik Wojska Polskiego. Urodził się w 1899 r. Był żołnierzem I Brygady w kompanii L. Lisa-Kuli. W 1917 r. napisał część zwrotek tekstu pieśni „*My, Pierwsza Brygada*”.

W czasie II wojny światowej pracował w polskim Wojskowym Instytucie Technicznym w Wielkiej Brytanii. Po wojnie pozostał w Londynie. W 1946 r. Rada Ministrów PRL pozbawiła go obywatelstwa polskiego.

Tadeusz Biernacki zmarł w Szwajcarii w 1974 r.

Wykorzystano materiały z Internetu





*Jeśli chcesz znaleźć źródło,
Musisz iść do góry, pod prąd.
Przedzieraj się, szukaj, nie ustępuj,
Wiesz, że ono musi tu gdzieś być...*

(Jan Paweł II „Tryptyk rzymski”)

Z okazji jubileuszu pisma „Krynica” życzymy Redakcji i Jej współpracownikom nieustającej siły i samozaparca w popularyzowaniu pięknego polskiego słowa pielęgnującego najwyższe wartości humanistyczne i przekazującego prawdę zarówno o historii obu narodów-polskiego i ukraińskiego, jak i o współczesnych dziejach i zjawiskach kultury.

Czytelnikom „Krynicy” życzymy, by odnaleźli tutaj najczystsze źródło wiedzy o Polsce i Ukrainie, o wspólnych losach obu narodów, i by towarzyszyła im radość z obcowania z polskim słowem w jego najcudowniejszej formie.

UNIA POETYCKA WOJCIECHA SIEMIONA

Mszczonów, Polska

„JEST W KAŻDYM WIERNYM SERCU...”

Polskie wiersze patriotyczne

ROK 1918

O mamó, otrzyj oczy,
Z uśmiechem do mnie mów –
Ta krew, co z piersi broczy,
Ta krew – to za nasz Lwów!..
Ja biłem się tak samo,
Jak starsi – mamó chwał!
Tylko mi ciebie, mamó,
Tylko mi Polski żal!..

Mamó czy jesteś ze mną?
Nie słyszę twoich słów...
W oczach mi trochę ciemno.
Obroniliśmy Lwów!..
Zostaniesz biedna samą...
Bacność! Za Lwów! Cel! Pał!
Tylko mi ciebie, mamó,
Tylko mi Polski żal...

Z prawdziwym karabinem
U pierwszych stałem czat...
O, nie płacz nad swym synem,
Że za Ojczyznę padł!..
Z krwawą na kurtce plamą
Odchodzę dumny w dal...
Tylko mi ciebie, mamó,
Tylko mi Polski żal...

Artur Oppman (1867–1931)



GAWĘDA O MIŁOŚCI DO ZIEMI OJCZYZESTEJ

Bez tej miłości można żyć,
mieć serce suche jak orzeszek,
malutki los napaństwkiem pić
z dala od zgryzot i pocieszeń,

na własną miarę znać nadzieję,
w mroku kryjówkę sobie uwić,
o blasku próchna mówić „dniej”,
o blasku słońca nic nie mówić.

Jakiej miłości brakło im,
że są jak okno wypalone,
rozbite szkło, rozwiany dym,
jak drzewo z nagła powalone,
które za płytko wrosło w ziemię,
któremu wyrwał wiatr korzenie
i jeszcze żyje część czasu,
ale już traci swe zielenie
i już nie szumi w chórze lasu?

Ziemió ojczysta, ziemió jasna,
nie będę powalonym drzewem.
Codziennie mocniej w ciebie wrastam
radością, smutkiem, dumą, gniewem.
Nie będę jak zerwana nić.
Odrzucam pusto brzmiące słowa.
Można nie kochać cię – i żyć,
ale nie można owocować.

Wisława Szymborska (1923–2012)



POLSKA

I cóż powiedzą tomy słowników,
Lekcje historii i geografii,
Gdy tylko o niej mówić potrafi
Krzak bzu kwitnący i śpiew słowików.

Choć jej granice znajdziesz na mapach,
Ale o treści, co je wypełnia,
Powie ci tylko księżyc pełnia
I mgła nad łąką, i liści zapach.

Pytasz się, synu, gdzie jest i jaka?
W niewymierzonej krainie leży.
Jest w każdym wiernym sercu Polaka,
Co o nią walczył, cierpiał i wierzył.

W szumie gołębi na starym rynku,
W książce poety i na budowie,
W codziennej pracy, w życzliwym słowie,
Znajdziesz ją w każdym dobrym uczynku.

Antoni Słonimski (1895–1976)



BAGNET NA BROŃ

Kiedy przyjdą podpalić dom,
ten, w którym mieszkasz – Polskę,
kiedy rzucą przed siebie grom
kiedy runą żelaznym wojskiem
i pod drzwiami staną, i nocą
kolbami w drzwi załomocą –
ty, ze snu podnosząc skroń,
stań u drzwi.
Bagnet na broń!
Trzeba krwi!

Są w ojczyźnie rachunki krzywd,
obca dłoń ich też nie przekreśli,
ale krwi nie odmówi nikt:
wysączymy ją z piersi i z pieśni.
Cóż, że nieraz smakował gorzko
na tej ziemi więzienny chleb?
Za tę dłoń podniesioną nad Polską –
kula w łeb!

Ogniomistrzu i serc, i słów,
poeto, nie w pieśni troska.
Dzisiaj wiersz – to strzelecki rów,
okrzyk i rozkaz:
Bagnet na broń!

Bagnet na broń!
A gdyby umierać przyszło,
przypomnimy, co rzekł Cambronne,
i powiemy to samo nad Wisłą.

Władysław Broniewski (1897–1962)



OBLICZE OJCZYZNY

ojczyzna to kraj dzieciństwa
miejsce urodzenia
to jest ta mała najbliższa
ojczyzna

miasto miasteczko wieś
ulica dom podwórko

pierwsza miłość
las na horyzoncie
groby

w dzieciństwie poznaje się
kwiaty zioła zboża
zwierzęta
poła łąki
słowa owoce

ojczyzna się śmieje

na początku ojczyzna
jest blisko
na wyciągnięcie ręki

dopiero później rośnie
krwawi
boli

Tadeusz Różewicz (1921–2014)





BARWY NARODOWE

Biało – krwawy,
Krwawo – biały, Iniany
Opatrunku, który zwiesz się: sztandar,
Coś się z wielkim krwotokiem uporał!
Wiatr rozwija ten dokument rany,
Wznosi w górę bohaterski bandaż,
Tę pamiątkę,
Ten dług
I ten morał.

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska